

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET



Jezus Chrystus na górze Oliwnej.

Za się powtóre odszedł, i modlił się rzekąc: Ojcze mój, jeśli nie może ten kielich odejść jedno abym go pił: niech się dzieje wola Twoja.

Św. Mateusz Rozdz. XXVI, w. 42.

grobu Chrystusa.

grobie spocząłeś—w mrocznym, zimnym
[grobie,

Gdzie gniją ciała, próchnieją czerepy—
I tarcza słońca blednieje w żałobie,
Od widnokregu w krąg chmur suną krepy.

Żywot Twój Boski pograżył huragan
W złości niewdzięcznych serc oceanowej.
I byłeś oplwan, dyscypliną smagan,
Krew i pot lał się z piersi Twojej i głowy...

Trzcinę za berło w dłoń Twoją wetknęto,
W purpurę barki nagie przyodziano,
I dla pospólstwa ogłoszono święto—
Śmiano się z Ciebie i naigrywano!...

Aż w grób zstąpiłeś—w grób ciasny i twardy,
I na kamieniu oparłeś skroń siną,
Syt ludzkich szyderstw, naśmiewań i wzgardy,
Z żądzą miłości ostatnią, jedyną...

Lecz jeno patrzeć, jak cud błysnie wielki,
I świat się widzem stanie onej sceny—
Gdy Cię obudzi płacz Twojej Rodzicielki,
I zmartwychwstaniesz na łzy Magdaleny!...

Wiktor Dęczyński.

MISTRZU!

Rzekł jej Jezus: Maryo!
Obróciwszy się ona rzekła
mu: Mistrzu!
Św. Jan, XX, 16.

Złotawe chmurki sunęły lekko po niebiosach,
zbudzone tchnieniem świtu, gwiazdy mrużyły
oczy po nocnym swem czuwaniu, mgła przypa-
dała do ziemi, a w powietrzu rzeźwego poranka,
na skraju widnokregu falować zaczęła zorza,
i coś się działo dookoła na świecie nowego, świe-
żego, odrodzonego, jakby ta palestyńska wio-
sna pełniejszą tym razem oddychała pierśią, jak-
by w swem odrodzeniu miała coś, co nigdy nie
zwiądnęło, nie zajądzie ze słońcem, nie odleci z pta-
kami, nie opadnie z zeschniętym liściem... Ptaki
zerwały się z dziwnie radosną pieśnią, motyle
leciały gdzieś jakby na pewno, a złote jaskry na
ścieżce prowadzącej do groty znaczyły ślad,
którym przeszedł największy z cudów świata:
zmartwychwstały—Człowiek-Bóg.

Na ścieżce, opodal wejścia do grobowej cze-
luści, klęczała Magdalena z głową ku ziemi schy-
loną, z włosami leżącymi w trawie wilgotnej,
z oczyma pełnymi zdumienia i radości. Ona wi-
działa, choć inni nie widzieli, anioła siedzącego
u wejścia groty na odwalonym kamieniu, anio-
ła, którego wejście było jako błyskawica,
a szata jako śnieg... On jej powiedział, że Pan
zmartwychwstał i żeby o tem oznajmiła uczniom
Jego... Ale jej serce wezbrane tajemniczą rado-
ścią, pochyliło ją ku ziemi, a z oczu płynęły łzy
zachwycenia... Alleluja! — śpiewała w duszy,
zmartwychwstał jako powiedział... jam to czuła...
myśla i duszą i sercem... czułam w powietrzu,
w zapachu tej wiosny... w pośpiesznym rozkwie-
cie przyrody, która się stroiła dla Stwórcy—
czułam niepokojem i niecierpliwością oczekiwa-
nia... czułam przecuciem, które jest we mnie...
czułam, bo—czułam, bo wierzę i kocham—alle-
luja!

I podniosła się i chciała biedzić, aby drugim
wieść radosną opowiedzieć, aż tu zaszedł jej dro-
gę mąż wyniosłej postaci i rzekł do niej:

— Niewiasto, czemu płaczesz? kogo szukasz?
Ona mniemając, że był ogrodnikiem, rzekła
mu:

— Panie, jeśliś ty go wziął, powiedz mi, gdzieś
go położył, a ja go wezmę.—I rzekł jej:

— Maryo!

— Mistrzu! — krzyknęła Magdalena i jasnowi-
dnym przecuciem poznała Zmartwychwstałego.

On tylko jednym słowem do niej przemówił,
nazwał jej duszę po imieniu, dotknął jednym
wyrazem jej serca—a ona Go poczuła wewnętr-
nem światłem miłości, niezamąconą niczem ja-
snością myśli, zwierciadlaną powierzchnią swego
serca, które od razu odbiło wcieloną prawdę
i krzyknęło z radości na powitanie Mistrza...

A potem rąca i weselna pobiegła nieść wiado-
mość zmartwychwstania między uczni i wier-
nych, cieszyć ich i gromadzić, i jedni uwierzyli
jej od razu, ale byli i tacy, którzy wątpili i któ-
rych Pan własną musiał dotknąć ręką, aby ich
dusze się ocknęły ze snu nieufności i przetarły
oczy na prawdę boską, która stała przed nimi...

Wieść poszła Palestyną i Samaryą, poszła Azją
i morzem, poszła do Efezu i na Patmos, poszła do
Grecji i Rzymu, gdzie krwią męczenników obla-
na, poszła jeszcze dalej—i świat i wieki ogarnia,
ludy zdobywa, i czarne chrzciłady, na spiekłych
pustyniach misye sprawuje, stawia krzyże na
lodowcach i od bieguna do bieguna zdobywa,
odradza, oświeca, ogrzewa i zbawia dla nieśmier-
telności stworzonego ludzkiego ducha...

A jednak, zdobywając z czasem tłumy i lądy,
jakież to boskie Alleluja macieżkie trudy, zanim
przeniknie w oporne serce jednostki człowieka...
Tak dawno żyjemy pod tem Alleluja, a jacyż je-
szcze jesteśmy poganie, tak dawno temu świa-
tłem ochrzczeni, a jakże ciemni jesteśmy we-
wnątrz i dosłuchać się w sercu nie możemy bo-
skiego Magdaleny przecucia; w mgłę pesymi-
zmu wsunięci, nie umiemy się rozradować wio-
senną pełnią miłości Boga i bliźniego i nie chce
nam się, nie chce się po prostu wstać o świcie
dobrego natchnienia i zajrzeć w ciemną groty
duszy naszej i przekonać się, czy tam wiara ży-
je jeszcze, czy nie. I tak mało w nas zmartwych-
wstań na nowo ze złego, odrodzenia w dobrej
woli, odzicia w roztroptym a serdecznym czy-
nie. Mistrz stoi tuż koło nas, ale my go nie po-
znajemy, bośmy ziemni i twardzi; nie słyszymy
jego głosu, bośmy ogłuchli w światowym wirze;
nie odzywamy się, gdy do nas po imieniu prze-
mawia, bo zanikło w nas boskie przecucie, ta
wewnętrzna, ogromna a cudowna czujność na
szept Stwórcy do stworzenia. I tak czekamy
ziemi i bierni i ospali, aż nas dotknie swym pal-
cem, pod którym rozkruszy się nasza dusza na
nędzny proch i dopiero w strachu usłyszy i uzna
wołający na nich głos Mistrza.

A Mistrz ciągle stoi i puka i prosi: pójďte do
mnie wszyscy... Przychodzi w postaci biednego
dziecka-sieroty, przychodzi w przebraniu kaleki,
robotnika i wdowy, w postaci ciemnych i wy-
dziedziczonych, smutnych i nieuleczalnie cho-
rych, w pieluchach bezdomnego niemowlęcia,
któremu świat gniazda odmówił i w łachmanach
grzesznika, którego ludzkie sądy odrzuciły od
życia społecznego... A my go nie poznajemy...

To zawsze on, ten sam Mistrz w przebraniu,
próbujący serc naszych czujności, doświadczają-
jący naszego boskiego przecucia... Ileż razy od-
szedł z nim... nie rozumiemy, nie pojęliśmy... Ileż
razy, gdy słów nie wystarczało, kładł dotykalnie
swą rękę na nas i dawał się poznać nam, uczniom
swoim i łamał się z nami chlebem swoich darów
niewyczerpanych, urodzajów ziemi, bogactwem
kopalni, czarodziejską skarbnicą przyrody, i kie-
lichem swego boskiego natchnienia, które lał
w dusze nasze, jako zdroj prawdy, wiedzy, pię-
kna, pieśni... a myśmy wszystko chciwie przy-
jmowali, tylkośmy nie poznawali Mistrza i Daw-
cy... Bo jednego od nas tylko żądał: Idźcie i po-
wiedźcie—inym: Alleluja! A nam się tego nie
chciało, nie z siebie dla drugich, wszystko każdy
dla siebie... Dla tego głuchniemy, ślepniemy
i stygniemy... twardniejemy w sądach, wypierzy-

liśmy się z ciepła miłości, wylusknęliśmy się
z wiary i nadziei w nas zbutwiały... zamykamy
się w grotach egoizmu... i zmartwychwstać nam
trudno na głos Mistrza... — Ale jednak żyjemy
przecież są w nas małe ziarna zasiewu, i dziś,
gdy brzmi światem Alleluja na nowo, gdy
budzi się świat i woła nas na nowo głos ukocha-
ny — wielu z nas rzuci mu się w boskiem prze-
czuciu do stóp i zawoła, jak ongi biblijna nie-
wiasta:

— Mistrzu mój, to Ty!

Szczęśna.

ISKARYOTA.

Po za czarną chmur oponą
Znikła słońca tarcza złota.

Krwawym blaskiem chmury płoną.
W krwawych blaskach tonie świat.
Po cier. istej, błędnej drodze,
Z dzikim jękiem, w bólu, w trwodze.
Pochylona, napół naga
Postać w mroczną pędzi dal...
Wicher włos jej siwy targa,
Wzrok szaleńca, w pianie wargi,
W rękę—po srebrnikach wór...
Judas, Judas Iskaryota!
Sercem jego rozpacz miota
I zapóźnie, próżny żal.
— Zdrada, zdrada, zdrada, zdrada!..
Ten dźwięk jeden mózg mu smaga,
Jak węzowych splotów bicze,
Jak erynii straszny chór.
Ból wykrzywia mu oblicze,
Gdzie wzrok rzuci, wszędzie krzyże,
Krzyże, krzyże, krzyże, krzyże,
A na krwawym drogi żwirze
Rozrzucone lśnią srebrniki
I wciąż nowy grad ich spada,
Grad srebrników lśniących, grad...

Selim.

PRZY KOMINKU. (POGAWĘDKA).

I kiedyż to, łaskawe czytelniczki moje, opu-
ścimy kominek a na werendę przejdziemy? Słoń-
ca nam nie brak, świeci jasno, ale coś z tego,
gdy promienia te nie grzeją, a od północy wiatr
zimny zalata i od czasu do czasu gałązkę kry-
ształowej paproci rzuci na szyby okien. A już
znudziły nas te długie miesiące zimny lato prze-
drzeźniającej, jej wahanie się ciągle, ciągle rzu-
canie pół nadziei; ta pół nadzieją ludzenie. Ostro-
Luty przypominał Marzec kapryśny, Marzec zaś
widocznie odwdzięczając się swojemu poprzedni-
kowi, wszystkie jego cechy wziął na siebie, więc
mrozem dmuchnął, zawieją pogroził, ale co gor-
sza, zwarzył nabrzmiałe pączki drzew owoc-
nych tak, że nam groziła nieurodzajem gruszy
i jabłoni. Zła jednak natura ludzka pociesza
się w niedoli własnej cudzą niedolą. I oto, do-
wiedziawszy się, że Paryż w dniach bieżących
został białym całunem śniegu pokryty, staliśmy
się wyrozumiali więcej na wiosny naszej kapry-
sy—boć dziwaczną przecie byłoby pretensya

Warszawy, ażeby w czemkolwiek bądź mogła Paryż przewyższać.

— Zimno—brr!—odezwałem się raz do przyjaciela swojego, spotkawszy go na ulicy.

On na to:

— W Paryżu śnieg upadł.

— No... tak mi gadaj, kochankul... i—czy wiecie, łaskawi państwo, ciepłej mi się czegoś od razu zrobiło, nawet doznałem pewnego uczucia przyjemności, że w Paryżu śnieg i u nas śnieg, że w Paryżu ludzie marzną i u nas marzną także. Wyszlachetniało mi nawet oblicze Warszawy, rad byłem, że nawet w tym wypadku zmian atmosferycznych, nie sprzeniewierzyło się Paryżowi. Warszawa zawsze była nazywaną małym Paryżem.

Miasteczko nasze bawi się jak może i jak umie.

Nie pamiętam tak rozradowanej Warszawy, jak teraz. Oczywiście, że te zabawy zbiorowe są na cel dobroczynny przenoszone, ale czy to koncert w salach reutowych odbywający się, czy raut w Ratuszu, publiczność tłumnie wypełnia sale, może się trochę bawi, trochę nudzi, ale umyka od „wszechświatowego repertuaru“ i sypie obficie groszem na cele publiczne.

Ze wszystkich koncertów, nieudal się tylko jeden koncert, ale to były winny afisze, na których stało wypisane:

„Kwartet polski.“

Dla małego Paryża, Wiednia i t. d. to wydało się zaproszenie.

I właśnie!

Gdyby był „kwartet chiński“ albo, występująca w koncercie czwórka, składała się z czterech osobników narodowości przynajmniej odmiennej—to sale reutowe nie pomieściłyby melomanów—ale czterech wirtuozów narodowości tak dobrze nam znanej... świat porwał. To też sprzedano tylko parę dziesiątków krzeseł, co nieopłaciłoby sali wynajętej—zatem, pieniądze zwrócono i kwartetu polskiego nie było.

Ale oto w tygodniu zeszłym inny kwartet nam się przedstawił. Rostrzygnął się konkurs imienia Paderewskiego na sztukę dramatyczną i pochwalił się przesłicznym plonem. Mówiąc to, nie tylko wierzymy w znajomość rzeczy panów sędziów konkursowych, ale, należąc samemu do ich rzędu, mogę na czapkę Mahometa przysiądz, że na jaw wyszli nowi ludzie, nowe talenty, na których przyszłość z uśmiechem radości patrzymy. Nagród było cztery: 1) 1000, 2) 500, 3) 300 i 4) 200 rub. A oto laureaci:

1) Lucyan Rydel „Zaczarowane koło“, 2) Józefat Nowiński „Białe gołąbki“, 3) Jan August Kisielowski (pseudonim August Olch), „Karykatury“ i 4) Bohdan Jaxa Roniker „Zgorzeni.“ Czterech laureatów dramatów czterech, to coś znaczy.

Po za tem przyznano zaszczytne odznaczenie:

1) „Złudzenia“ Włodzimierz Lewicki, 2) „Ojciec i syn“ Bohdan Jaxa Roniker, 3) „Burza“ Ignacy Grabowski, 4) „Którędy?“ Janusz Korczak (pseudonim), 5) „Tyberyusz“ Marya Zawiszyna i 6) „Iwan Groźny“ Starza (pseudonim).

Razem tedy sztuk dramatycznych dziesięć, z których dwie: „Zaczarowane koło“ i „Iwan Groźny“ pisane wierszem rymowym. Krom tych jest jeszcze kilka, zasługujących w każdym razie, choć na wzmiankę.

Plon więc mamy dobry, tembardziej, że konkurs miał na celu wydobyć sił młodych.

Powiedziawszy prawdę, to najbardziej zadziwił nas autor „Białej gołąbki“ bogactwem, pomysłu i przesłiczną a poetyczną prozą. Jeżeli otrzymał drugą nagrodę, to tylko dlatego, że zanadto dał się unieść polotowi młodzieńczej fantazji i nie liczył się wcale z warunkami scenicznymi. Obie pierwsze sztuki: Rydla i Nowińskiego znalazły już nabywców i „Zaczarowane koło“ będzie nawet wkrótce przedstawione na scenie.

A teraz—przezieram nadesłane mi listy.

Szanowne czytelniczki moje w malutkiej części zrobiły zadość mojemu wezwaniu—ale... nie-pocieszające to są wiadomości, któremi dzielicie się ze mną. Czy nie można mieć wyższych pragnień na prowincyi mieszkając, nad flirt, który niczem innym nie jest jak salonową rozpustą? czy nie możecie, panie, powstrzymać panów swoich od gry kartowej? czy młode panny, nie mają nic innego do roboty, jak czas trwonić na wypatrywanie—mężów, do czego im tak skutecznie mają panie matki pomagać? Azadanie społeczne, a praca u nizin, wśród których obracacie się? Wiem, że zrazu trudnem jest przewalczenie wrodzonego nam lenistwa. Każda z was, rozumiejąca zło, już ma obowiązek walczenia przeciwko niemu. A walka każda rozgrzewa i zagrzewa, napadniętych do obrony zmusza, wywołuje utarczkę zdań i przekonań, a dość, by prąd czynu przeszedł przez wasze serca i głowy, ażeby już nie zaspać raz poruszonej sprawy, nie tylko jej uczestnikami stać się, lecz—ofiarami nawet. I oto, na przykład flirt jest brzydactwem towarzyskiem, wypowiedzieć śmiało temu walkę; karty—szczególniej przy dzisiejszych warunkach—są klęską społeczną—wydrzyjcie je z rąk nieogłędnych i przypomnijcie dla kogo wynalezione zostały! Nie zrażajcie się niczem, bo się niewolno zrażać na łatwe nie liczne zwycięstwa. Mam jednak nadzieję, że jeszcze i pomyślniejszych doczekamy się wieści, tymczasem dziękuję za próby pierwsze nawiązania ze mną stosunków listowych.

W Warszawie rozpoczęła się już wędrówka do grobów, kościoły przepełnione, na tacach kwestarek stosy pieniędzy leżą.

W dniu dzisiejszym niosę Wam życzenia wszystkich życzeń niespełnionych jeszcze.

Alleluja!

??

Do Szanownej Redakcyi

„Bluszczu.“

Wkrótce, bo już za kilka tygodni zacznie się w całym kraju zwykle doroczne szczepienie ospy ochronnej. Kraj nasz cierpi od ospy bardziej, niż którykolwiek inny w Europie, a mimo to okazujemy względem szczepienia karygodne niedbalstwo. Ludzi ani razu w życiu nieszczepionych jest u nas mnóstwo, a są oni coraz niebezpieczniejsi dla ogółu, bo gęstość ludności w kraju coraz bardziej wzrasta, a z nią i łatwość powstawanie epidemii. W najbardziej zaludnionych przemysłowych miastach i okolicach kraju epidemia ospy trwa nieustannie.

Tak dłużej być nie może. Jeżeli tyle wielkich miast i całe państwa pozbyły się niemal zupełnie ospy, i np. w całym państwie niemieckim było wypadków śmierci z ospy w roku zeszłym mniej niż w samej Warszawie, a w bliskim nam Krakowie całymi latami nie bywa jednego przypadku śmierci z ospy, dla czegoż u nas tylko corocznie ma umierać po kilka tysięcy ofiar z choroby od stu lat już opanowanej przez ludzkość? Przecież pozbyć się tej klęski możemy bez żadnych kosztów i zachodów, jedynie dobrą wolą. Zaszczepić sobie ospę każdy może u nas darmo lub prawie za darmo. Dziś klęską jest nie ospa, ale nasza cierpliwość, z jaką ją znosimy, prawie że pielęgnujemy.

Towarzystwo higieniczne uważa za swój obowiązek wezwać wszystkich mieszkańców kraju bogatych i biednych, do otrząśnięcia się z tego niedbalstwa. Każdy człowiek u nas powinien mieć ospę szczepioną i to nie tylko w pierwszym roku życia, ale i drugiego między 7 a 12 rokiem. Każdy, kto nie dopełni tego sobie i swym dzie-

ciom, musi zrozumieć, że nie tylko siebie i swe dzieci jakby umyślnie naraża na niebezpieczeństwo, ale że winien jest w części śmierci tych kilku tysięcy, które u nas co roku giną z ospy. Człowiek nieszczepiony u nas ma 50 szans na 100, że zachoruje na ospę.

Prosimy duchowieństwo wszystkich wyznań, ażeby użyło swego wpływu dla przekonania ludności, jak koniecznem jest dwukrotne szczepienie i jak występniem—niedbalstwem w tym względzie.

Prosimy inteligencję kraju, aby przede wszystkim dała dobry przykład z siebie *), aby dalej nie żałowała słowa namowy, które przecież nie nie kosztuje i zwracała się z niemi do mniej oświeconych braci.

Prosimy wszystkich pracodawców, właścicieli ziemskich i miejskich, przemysłowców, kupców, majstrów, aby od robotników, służby i czeladzi którzy nigdy jeszcze szczepieni nie byli, domagali się obowiązkowego zaszczepienia ospy sobie i swym rodzinom.

Niech ludzie nigdy jeszcze nie szczepieni rozumieją, że ich się każdy boi, że ich nikt nie chce, że niosą z sobą nieszczęście.

Przypominamy, że oddając dziecko do szkół, trzeba je szczepić powtórnie, żeby i własne dziecko ochronić i cudzych nie narażać.

Przypominamy, że aby ospa szczepiona łagodnie dzieciom przeszła i dobrze je zabezpieczyła od choroby, szczepienie musi być jak najczystsiej wykonane; dziecko więc przed szczepieniem wykąpane i w czystą bieliznę ubrane być winno.

Przypominamy, że śpieszne zawiadamianie władz o każdym zachorowaniu na ospę jest obowiązkiem wszystkich, jako jedyny środek, pozwalający stłumić epidemię w zaczątku.

Z poważaniem

Prezes Rady J. Kosiniński.

Członek-sekretarz Towarzystwa Szumlański.

Kazimierz Gliński.

KRZYWDA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Pewnej niedzieli, powróciwszy z pobliskiego miasteczka, zaszedł do Sochackich i poprosił ich na obiad do siebie. Oczywiście, że najprzedniejszymi gośćmi byli: Staś i Władek.

Dzień był ciepły, więc łatwo babcia zgodziła się na przeniesienie wnucząt do dworu. Owinęła tak maleństwa, że tylko dwa noski widać było i oddała oboje Grudowskiemu, który na własnych rękach do domu zaniósł. Zaledwie rozpakowano dzieciaki, jak okrutny hałas podniosły, skacząc, by na sprężynach.

Pośrodku salonu, na podłodze, stała moc zabawek, któremi dziatwa została obdarowana. Był konik, biegający na kółkach po nakręceniu sprężyny; krówka kiwała głową, a baran beczał, baloniki zaś na nitkach unosiły się w powietrzu. Dzieciaki szczególnie zachwycone były cudownymi laleczkami, które same zamykały i po-

*) Nawet w Warszawie blisko trzecia część inteligencji zaniedbuje powtórne szczepienia.

dnosiły powieki, a za dotknięciem brzuszka, „ma-ma,” albo „pa-pa” piszczały.

— Ujek, lala me,—zawołał młodszy Władysław, a Stach dusił barana, że aż wrzeszczał w niebogłosy.

— A po co to? a na co? — mrucał Sochacki, lecz w duchu szeptał: — Daj Panie Boże królestwo! Babcia zaś nie mogła się od łez wstrzymać i czuła ogromną wdzięczność dla pana Hipolita, że tak jej sierotki ukochał.

Po obiedzie wyszedł na chwilę Grudowski do swojego gabinetu, a Staś za nim podybał. Hipolit siadł na sofie i ręce do malca wyciągnął.

— Ujek—bus!—odezwał się dzieciak, co miało znaczyć, ażeby się położył.

Oczywiście, że pan Hipolit jak długi na sofie się wyciągnął, a wtedy berbecę wygramolił się i siadł na nim, jak na koniu.

— Hop-pa!—rozległo się głośnie.

Władek domyślił się figlów braciszka, wnet przybiegł z drugiego pokoju—i jazda!

— Jedzie, jedzie pan, pan, — śpiewał Hipolit.

— Hopa! hopa!—wrzeszczały dzieciaki.

Grudowski był zachwycony.

— Ja was zjem!—śmiał się.

— Ham!—straszył pana Hipolita Stasiek.

— O Jezu, Jezu! co też to pan dziedzic wyprawiał—zawołała Sochacka, w drzwiach stojąc.

Grudowski zerwał się, śmiejąc się serdecznie.

Była to niedziela bardzo wesoła dla pana Hipolita.

Sochaccy, jak to mówią, na wozie i pod wozem byli, z niejednego pieca chleb jedli, spotykali się z różnymi ludźmi mniej lub więcej życzliwymi, lecz, od kiedy bieda do ich wrót zakolała, a ekonomstwo przylgnęło do nazwiska, zmieniło się wszystko naraz. Panu Januaremu nie nikt zarzucić nie mógł, bo człek był wielkiej prawości i prędzej nie dojadł, niż obowiązku swojego nie spełnił; gospodarz zawołany, nie koniecznie dawnej rutynie hołdujący—lecz, że stanowiskiem był różny od innych, szanowali go—z daleka, kochali—zdaleka, nikt zaś nie zbliżał się. Nie byłby może innym i pan Hipolit Grudowski, gdyby nie szkoła życia, przez którą przeszedł, która mu pokazała ogół ludzi we właściwym oświetleniu. Sohaccy ubóstwiali Hipolita, dziatwa garneła się ku niemu i *dobrym ukiem* nazywała.

Po wyjściu Sochackich pan Hipolit wzdłuż i wszerz chodził po jadalnym pokoju. Dzwoniły mu w uszach srebrzyste śmiechy dziecięce, napawały roskoszą ich tyranizujące pieszczoty.

— Dzieci!—szeptał. — Jakby tu gwaro było, gdybym miał dzieci!

I znowu myślą poleciał do Hajczyniec, gdzie państwo Rybostwo przygotowywali się na występ karnawałowy.

Zjazd, jak zwykle, był liczny—stawili się wszyscy.

Nie czekano teraz na pana Hipolita, który już sam spieszył, gnany chęcią ujrzenia panny Matyldy. Czuł, że byłby podrażniony, gdyby mu coś na przeszkodzie stanęło—i—gdy powóz nie zatoczył się przed ganek o naznaczonej godzinie, wysłał Sawka z zapytaniem o powód opóźnienia się.

— Proszę pana, dyszlowy zakulał.

— Do dyabła!—mruknął Grudowski. — Niech z fernalskich dobiorą, tylko prędzej! — wydał rozkaz.

Dobierano, ale ten był za rączy, ten za powolny, ten za niski, a tamten znów za wysoki. Pan Hipolit chodził z kąta w kąt, zazierał w okna i niecierpliwił się.

„Już się rozpoczął bal,—myślał. — Ciekawy jestem, z kim panna Matylda pierwszego walca tańczyła? A może nie tańczyła?... może—czekała.”

Uśmiechnął się.

„To byłoby dobrą wskazówką dla mnie.”

— Dzieciństwo! — szepnął po chwili,—i dla czego-by tańczyć nie miała?

„A jednak...”

Zanurzył się w fotelu i dumał.

Wybiła dziewiąta.

— Co oni tak marudzą?—zgrzytnął niecierpliwie zębami.

Podszedł do okna i rozpalone czoło o szyby oparł.

— Jaka ta szyba zimna,—rzekł. — Nie, to moje czoło gorące!

I uczył, że jego serce oplotło coś naksztalt—tęsknoty.

— Doprawdy, że gdybym nie pojechał dziś, byłoby mi przykro,—odezwał się po chwili.

I dodał:

— Jest postęp! Dawniejbym ten marny wypadek z koniem obojętnie przyjął.

I postawił pytanie:

— Jak dziś panna Matylda wyglądać będzie?

Wyglądała nad wyraz dobrze, nad spodziewanie pana Hipolita. Była to jedna z chwil, w których budziła się jej senna natura, pożądanie jakieś w krwi grać zaczynały i ponętym rumieńcem barwiły policzki, ruchom przybawało lekkości, wdziękowi wdzięków, myślom jasności, a słowom swobody więcej.

Z niewinną kokieterią powitała Hipolita, który po raz pierwszy uczył, że podbój się dokonywa, nie bronił się jednak, przeciwnie, z pewną, nieznaczną a dozwoloną poufałością ujął rączkę panny Matyldy i, ścisnąwszy mocno, zapytał:

— Tańczyłaś już pani?

— Chciałam nie tańczyć, ale... nie mogłam,—odpowiedziała półszeptem.

— Dla czego pani nie—mogła?

— Bo to może zwróciłoby uwagę,—a ludzie są tak skłonni do podejrzeń.

— Czy pani obawia się tych podejrzeń? — spytał Hipolit, znacząco patrząc w oczy panny Matyldy.

Splonęła się, jak róża, gdy nagle ukryty w obłoku blask słoneczny na nią padnie, i ciekawą byłaby odpowiedź, lecz przeszkodził temu Tołpiskiewicz, który nie w porę Grudowskiego w ramiona chwycił. Zaraz też nadbiegła pani Brygitta i pan Ryba przysunął się.

— E—tego uważasz—opóźniasz się, jakbyś wypróbowywał cierpliwości naszej.

Pan Hipolit wytłumaczył się wypadkiem z koniem.

— Czemuż, tego uważasz, nie kupisz już sobie cugowych?

— Czy one, mości dobrodzieju, kuleć nie mogą?—wmięszal się Tołpiskiewicz.

Dano hasło do mazura.

— Ja z panem,—podbiegając szybko, szepnęła Matylda.

Była dziwnie podniecona, rzuciła się w wir tańców z jakimś niebywałem zapamiętaniem się.

Panna Matylda tańczyła [dużo i ze wszystkimi, najchętniej jednak podawała dłoń panu Hipolitowi. W przestankach byli zawsze przy sobie, radzi ze spotkania. Do wyznań nie dochodziło żadnych, lecz rozmawiali ciszej i jakby serdeczniej, a panna Matylda czasem dłoń przyłożyła do serca, czasem urwała westchnienie, czasem takie spojrzenie zwróciła na pana Hipolita, jakby pragnęła we wzroku jego utonąć.

— Przyjeżdżaj pan, nie zapominaj! — rzuciła przy pożegnaniu.

Grudowski odjechał rozmarzony nieco, czuł, że trochę inaczej mu było, niż zawsze.

Wieczorem dnia tego kazał przyjść karbowemu do siebie.

— Czubiński!

— Słucham pana.

— Byłeś w Zwoleniu?

— A jakże, był!

— I cóż tam z domem?

— Spuścił sto.

— Ja dodam sto; ma dziewięćset — ostatnie słowo!

Pan Hipolit nie spieszył z kupnem, bo wiedział, że Zieman nie łatwo znajdzie nabywcę. Nikt w całej okolicy domu nie potrzebował, on zaś, choćby i przewiózł szkielet budynku, z postawieniem go do wiosny czekałby musiał, boć nikt nie zakłada fundamentów w grunt zmarzły, nie buduje sobie gniazda bez opatrzenia miejscowości dogodnej.

Dom w Górkach, jak na swoje lata, trzymał się dobrze, podreperowawszy go można by mieć

wcale niezłą jeszcze siedzibę, lecz, że lepszą połowę zajęła matka, że ona zresztą tu mieszkała, pan Hipolit nie wprowadziłby żony pod dach z nią jeden.

Po naradzie, odbytej z Sochackim, stanęło na tem, że dom drugi może tylko w Piaskach stanąć. Wprawdzie nie było tam tak cienistego ogrodu, jak w Górkach, ani rzeczki przepływającej w pobliżu, znalazło się jednak drzew kilka—dziesiąt, odnaleziono także ślady dawnych kłębów i alej, parę zdziczałych gruszy i jabłoni,—reszta się doda, dopełni, i dom na niewielkiem wzniesieniu stanąć może pośród chat wiejskich, oddzielony od nich tylko wąskim pasem ziemi, który zadrzewić potrzeba będzie.

Panu Hipolitowi żal było Górek, gdzie przesiedział lat trzynaście, a może żał opuszczać ich było dla wspomnień niedawnych,

które wśród pasma smutnego żywota
Błysnęły nagle, niby nitka złota.

Wszystko jednak zależało od postanowienia matki. Wydał też Czubińskiemu stosowne rozporządzenie na wypadek dobicia targu z Ziemanem,—reszta się ułoży po rozmowie z panią Karoliną.

Hipolit miał nadzieję, że matka, lubiąca komfort, bez oporu zgodzi się na zmianę siedziby, którą urządzi według swych upodobań. Piaski nawet leżały bliżej Grudowa, gdzie jej ukochany syn za parę miesięcy z żoną zamieszka. Jednej tylko rzeczy nie wiedział Hipolit, że ożenienie się jego nie leżało w planach pani Karoliny. Lecz żądał mógł wiedzieć?

Nigdy o tem z matką nie mówił, zresztą, zajęty pracą przy roli, nie myślał sam nawet o tym wypadku życia. Chwilowe dawniej zajęcie się panną Matyldą przeszło bez śladu, nie wiedziała by nawet o tem nie pani Grudowska, gdyby jej nie powiedział. Dziwiło ją wprawdzie powolne zrywanie stosunków z domem Hajczynieckim, aż pan Hipolit wyznał prawdę.

Odtąd pani Karolina uczuła nienawiść do Rybów. Ze słów jej wiedział, że nie życzyła już sobie nawiazania przerwanych nici, że pannę Matyldę, jako synową, niechętnieby przyjął. Była dumna, a urażono jej dumę obróceniem w niwecz zamiarów syna: wprawdzie obojętnym dla niej był ten syn, lecz zawsze—Grudowski.

Tak myślał pan Hipolit.

Trudności, nasuwające się w pozyskaniu dla swych projektów serca matki, ten zresztą stan dziwny, w jakim się znajdował, a którego ani miłością, ani obojętnością nazwać nie umiał,—były powodem, że w stosunku Górek do Hajczyniec nie się nie zmieniło, że wszystko w pewnem zawieszeniu zostało, choć coraz ciepłszymi słowami witał pannę Matyldę i dostukiwał się jej serca. Byli z sobą na stopie tej dobrej przyjaźni, która bardzo wiele powiedzieć już pozwalała, nie krępując się żadnem stanowczem przyrzeczeniem. Pani Rybina tylko chciałaby stanowczem słowem związać pana Hipolita, lecz mitygował ją pan Ryba, lękając się przedwczesnego nacisku, któryby mógł wszystko popsuć.

Panna Matylda tymczasem zajęła się zbieraniem rycin—zajęcie to nowe pochłaniało jej czas wszystek. Kupowała sztychy i oleodruki, przepatrywała skrupulatnie wszystkie książki i wydawnictwa obrazkowe, znajdujące się w pięknej bibliotece Hajczynieckiej, zwracając baczną uwagę, ażeby na rycinie, mającej jej zbiór powiększyć, choćby malutki młynek się znajdował ze wstążką wody, obracającą koła. W tym celu wycinała kartki z przepysanych nawet wydawnictw, psuła książki, lecz żadna uwaga powstrzymać jej nie mogła od tych dziwacznych zachcianek. Pan Ryba nie raz za głowę się brał, widząc ją siedzącą na ziemi w bibliotece z dużymi nożycami w ręku. Rozrzucone książki, powycinane ryciny mówiły o najściu Atylli w spódnicy, ale panna Matylda śmiała się uszczęśliwiona, jeżeli pożądanym przedmiot znalazła.

— Bój się Boga, Matyldko, co ty wyprawiasz!—wołał pan Ryba, za uszy się chwytając.

— Nudzę się, więc się bawię,—odpowiadała.

Gdy pan Hipolit przyjechał, pokazała mu zbiór cały.

Grudowski nie widział sensu w tem dziwacz-
nem zamilowaniu, ale gdy postawił sam siebie
na miejscu panny Matyldy, gdy powiedział:
„Przypuśćmy, że nie mam nic do roboty,“ zro-
zumiał, że można fiksacyi dostać z próżniactwa,
że budowałby domki z kart, gdyby już innego
zajęcia nie znalazł.

— Pani się nudzisz, — mówił, — a czy nie mo-
głabyś się pani zająć choćby uczeniem dzieci
chłopskich?

— Wszystko mogę, wszystko zrobię, — odpo-
wiała nerwowo, — ale nie tutaj, nie w Hajczyń-
cach.

Zasmiała się.

— Mój Boże! co by na to powiedzieli rodzice!
Ach, gdyby już prędzej ta wiosna nadeszła, przy-
jechałbyśmy do Górek w odwiedziny do mamy
pana, i pan by mnie zaprowadził znowu... tam...

— Do młyna, — dokończył z uśmiechem Hi-
polit.

— Jak ja pamiętam każde obrócenie się koła,
każdy bryzg fali, każdy szum wody tamtejszej...

Rozszerzyła żrenice, rumieńce wybiegły na
twarz.

— Szum wody tamtejszej! — powtórzyła.

Pan Hipolit wziął ją za rękę i pocałował w pa-
luszki i uczył w swej dłoni tych paluszków ruch
klawiszowy i chwianie się całej postaci panny
Matyldy i dreszcz, który po nim przebiegł.

Odjechał z postanowieniem oświadczenia się
o Matyldę natychmiast po rozmowie z matką,
której powrotu lada chwila oczekiwał. Tymcza-
sem panna Matylda wzięła się do kopjowania
jednej z rycin, ale pośpiech z jakim wykony-
wała zadanie, podjęta psuł pracę. Darła więc
kawałki brystolu, łamała kredki i ołówki, otacza-
jąc się śniegiem podartego papieru, wreszcie ci-
snęła wszystko na ziemię i rzuciła się na sofę,
kryjąc rozpaloną twarz w miękkie atłasy po-
duszek.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dzwon zatopiony.

Baśń dramatyczna przez Gerharta Hauptmana w prze-
kładzie Jana Karpowicza!

Sława, jaka zagranicą poprzedziła wystawie-
nie u nas „Zatopionego dzwonu“ Hauptmana,
była bez wątpienia jednym z najważniejszych
czynników powodzenia sztuki na naszym Tea-
trze Rozmaitości.

Hauptman napisał swój „Dzwon zatopiony“,
jako utwór, pod względem fantastycznym dość
słaby, filozoficznym — niewyraźny, społeczno-
etycznym niezupełnie zrozumiały, nie pozbawio-
ny jednak pewnego uroku tajemniczej poezji,
tej mgły srebrzystej, przez którą, jak przez pry-
zmat, przebijają się niewyraźnie blade światła
i tęcze zagadkowe. I oto dość było tych kilku
rzutów magicznych, kilku postaci ze staroda-
wnych bajek germańskich, przeniesionych na
grunt realny, kilku myśli głębszych, ażeby uzy-
skać poklask swojego społeczeństwa. Poklask
ten o nasze uszy się obił i kazał nam usta z za-
chwyty otworzyć.

Gdybyśmy chcieli porównać „Dzwon zatopio-
ny“ z „Balladyną“ — pod względem bogactwa fan-
tazyi, postępu akcji, logiki wypadków, pirami-
dalnej budowy, genialnej płataniny intrygi i —
niebawem w dziejach twórczości — cudownej
grozy rozwiązania przeolbrzymiej tragedji — wy-
baczyć śmiałości twierdzenia, ale dla mnie przy-
najmniej „Dzwon“ Hauptmanowski miałby zna-
czenie (przy porównaniu) ramoty suchej. Po-
wiecie mi na to: że innem całkiem jest założenie
tych dwóch dramatów, że w dziele Słowackiego
nie widzimy przewodniej myśli filozoficznej, któ-
rej uosobienie widzimy w Henryku, tym wyż-
szym duchu ludzkim, waleczącym z otoczeniem,
łamiącym lot jego skrzydeł, wiecznie niezado-

wolonym z dokonanych przez siebie czynów,
rwącym się wciąż wyżej, do świata przeczuwa-
nego, którego obraz nosi w sobie duch ludzki,
a który nie jest, mimo to, na ziemi!

Jeżeli o to chodzi, to i tego rysu nie jest po-
zbawione arcydzieło Słowackiego.

Mniejsza, że postać Balladyny jest demoniczną
postać, ale i w niej widzimy to wieczyste nie-
zaspokojenie duchowe, ten nad poziomy lot górn-
ny, to parcie się ducha do wyżyn, na któreby
stał sam, w majestacie swej chwały, okrutnej
może, szatańskiej, ale wolen od wszelkich wyro-
ków i sądów. Drogi może są inne, lecz cel je-
dnaki: zdobycie jak największej sumy szczęścia.
Balladyna druzgotała wszelkie prawa ludzkie
i boskie dla tego szczęścia; szła po trupach i gru-
zach z całą świadomością celu, do którego parł
ją ten duch wiecznie niespokojny, ta zagadka
w piersi naszej czy w mózgach naszych złożona
przez tajemniczą a wszechwładną potęgę; Hen-
ryk w „Dzwonie zatopionym“ dla tej mary
szczęścia zburzył spokój kochającej żony, zła-
mał ściśniający go obręcz obowiązków rodzin-
nych. Jak duch Aliny niczem nie jest, jak tylko
Balladyny sumieniem, tak i głos spiżowego ser-
ca dzwonu, poruszonego przez martwe dłonie
topielicy, żony Henryka, niczem innym nie jest,
jak głosem sumienia mistrza Henryka.

Widzimy więc, że i tragedia Słowackiego nie
jest pozbawiona tej samej myśli filozoficznej,
wyrażonej w dążeniu ducha ludzkiego do czegoś
wyższego nad to, co zwykle warunki życia na
ziemi dać mu mogą. „Dzwon“ zaś tak wszystkie
umysły zajął, że niejednokrotnie nawet słysza-
łem zdanie, iż „Balladyna“ nie dorosła do arcy-
dzieła Hauptmanowskiego.

Lecz przejrzyjmy, choćby pokrótce, treść
„Dzwonu.“

Przełiczna miejscowość górską. Rusalka sie-
dzi nad brzegiem studni, czesze włosy i odgania
osę natrętą. Jest ona uosobieniem — jak chcą
krytycy — poezji. Zapamiętajmy to sobie.

Złe duchy, czyli siły szkodliwe przyrody, do
których należą: Kozodój i Wodnik, zalecają się
do pięknej rusalki. Ona odtrąca te zaloty. Młoda,
nie zetknęła się ze światem ludzi — jest więc
jeszcze niewinnością samą.

Duchy, duszki i boginki, cały świat podwo-
dny i podziemny, zaniepokojone zostały osta-
tniem dziełem mistrza Henryka, odlewacza dzwo-
nów, który do świątyni nowy dzwon ułął, o gło-
sie tak potężnym, że nie tylko na nizinach rozle-
gać się jego dźwięki będą, ale potrafi i gór wierz-
chy i zamąci spokój duchów. Złe siły muszą te-
mu zapobiedz.

W chwili, gdy dzwon wieziono na górę, Ko-
zodój złamał szprychę u koła. Dzwon z ogro-
mnym hukiem stoczył się po głazach i runął
w przepaść i spoczął na dnie jeziora.

Ten figiel Kozodoja, łamiącego szprychy u ko-
ła, przypomina nam bardzo Skierkę, który pod
karocą Kirkora nadwodził mostek. Jak w „Dzwo-
nie“, tak i w „Balladynie“ wypadek stał się za-
wiązkiem dramatu. U Hauptmana jest to naśla-
downictwem bezwiednem, u naszego pisarza by-
łoby to występkiem karygodnym. Robimy tę
uwagę, ot tak sobie — na wiatr!

Dzwon runął, za dzwonem runął w przepaść
mistrz Henryk.

Czy wypadkiem?

Z opowiadania w akcie pierwszym nie dowia-
dujemy się nic o tem. Henryk, który się zjawia
omdlały i rozbity w ustroniu, gdzie zbierają się
duszki, mówi do Rusalki:

Upadłem — nie wiem jak się to stało: czy z pod-
nóg moich *perć się usunęła*, czy *dobrowolnie* upadł.
(Zapamiętajmy i to sobie.)

Piękność Rusalki, tajemniczy jej urok dzie-
wicy, przyprowadzają omdlałego Henryka do
zmysłów. Ona mu obcą nie jest? bo komuż jest
obcą Poezya, to najwyższe pragnienie każdego
szlachetnego ducha ludzkiego. To też mistrz mó-
wi do niej:

Jakaś ty słodka! Zostań, ręka moja
Zbożna — a święta ty jesteś! Ja ciebie
Gdzieś już widziałem. Ale gdzie? — o ciebiem
Walczył... o ciebie służyłem... jak długo?

Głos twój pragnąłem zakląć w kruszec dzwonu,
Pragnąłem z złotem słonecznego święta
Głos ten skojarzyć!... Lecz to arcydzieło
Nie udawało mi się nigdy... wówczas
Płakałem łzami gorzkiemi.

Rusalka nie rozumie znaczenia łez. Co znaczą
łzy? — pyta. Na niewinną boginkę słowa zbolale-
go człowieka robią wrażenie niezrozumiałe zra-
zu. Jest to jakby rozbudzenie się nieświadomej
natury, dokonane przez łzy i cierpienie.

Baba-Jaga, mieszkanka chaty leśnej, słysząc
głosy poszukujących Henryka, chce Rusalkę od-
ciągnąć od umierającego. Ona musi głosu tego
posłuchać, ale opuścić nie chce rozkochanego już
w niej mistrza. Zrywa więc różdżkę kwitnącą
i zakreśla krąg tajemniczy nad omdlałym Henry-
kiem, do którego nie przystąpi już noga śmier-
telnika.

Nie wejdzie tu nikt na świat.

Starzec, dziewczę, mąż, ni dziecię!...

Poszukujący odlewacza dzwonów: ksiądz, bal-
wierz i nauczyciel podchodzą. Znajdują omdla-
łego, ale tajemnicza siła odtrąca ich. Wzywają
tedy Babę-Jagę, która czar zdejmuje i dozwala
Henryka unieść.

Zjawiają się Kozodój, Wodnik i boginki. Jest
wiosna, dająca wszelkiemu stworzeniu prawo do
miłości. Umizgi Kozodoja i Wodnika do Rusalki,
są dziś jej wstrętniejsze niż kiedy bądź były.
Zaduma na jej czołe, czuje w sercu cierpienie,
na oku — łzę. Prosi Wodnika o wytłomaczenie
tajemnicy łez i otrzymuje przesłiczną odpowiedź:

Cudny dyament! W skrach tego kamienia

Lśnią wszystkie szczęścia, lśnią wszystkie cier-
[pienia:

Łzą się nazywa.

„Wiem już co łzy znaczą“ — odpowiada Rusal-
ka i odrzucając zaloty Wodnika, ze zgrozą jego
ucieka.

Dokąd?

„Do kraju ludzi.“

W następnym akcie Magda, żona Henryka,
oczekuje odezwania się dzwonu, wspaniałego
dzieła męża, lecz zamiast oczekiwanego dźwię-
ku, gwar tłumu mówi jej o nieszczęściu. Wnoszą
na noszach Henryka. Ksiądz uspokaja słowem
religii nieszczęśliwą i zostawia ją samą, by czu-
wała nad chorym. Henryk się budzi — a pierw-
szem jego słowem, po zażądaniu kropli wody;
jest: „ty musisz żyć beze mnie.“ Na nie zakle-
cia Magdy — on, mistrz, runawszy z wyżyn swych
marzeń — umrzeć musi. Piękność dzwonu była
złudzeniem, rojenia wszelkie przewyższają siły
ludzkie — a rozbicia takie muszą się tylko śmier-
cią kończyć.

„Nie udało mi się ostatnie dzieło — mówi Hen-
ryk. — Tam, w jeziorze górskim, leży ostatni
owoc mojej siły i mojej sztuki. Całe życie moje
lepszego z siebie nie dało owocu i dać nie mogło...
więc *je* (życie) też *straciłem* w ślad za mem dzie-
łem chybionem.“

Tu dopiero dowiadujemy się, że Henryk *sam*
się rzucił w przepaść. Inaczej nieco mówił Rusal-
ce. Jak więc było w rzeczywistości? Czy chciał
się unicestwić *sam*, widząc dzieło swoje chybio-
nem, a zatem wątpił o swojej przyszłości; czy
siła zewnętrzna, niezależna od niego, strąciła go
w przepaść? Pytanie to nie bez wagi. Samobój-
stwo jest dziełem rozpaczliwym i zwątpienia, bra-
kiem wiary we własne siły; katastrofa, przycho-
dząca z zewnątrz, siły tej nie wyklucza.

Nadchodzi Rusalka w przebraniu służebnej
dziewki, którą ksiądz bierze za głuchą Hannę
z michasiowego szalasu. Zostawiają tedy ową
Hannę na straży, a sami wychodzą.

Henryk budzi się i poznaje Rusalkę. Ma ją za
sen, za widmo, ale ona przekonywa go, że jest
osobą rzeczywistą, przekonywa roztrząskaniem
nóżką orzecha.

W ten sposób Rusalka vel Poezya staje się
ciałem. Henryk pod technieniem jej odżywa, od-
zyskuje zdrowie i siły, może i wiarę w siebie.
Nie krępują go już obowiązki życia codziennego,

porzuca żonę, by nowe, czynów pełne życie rozpocząć. I pod technieniem nowego życia, które powołano od Rusalki (Poezyi), mistrz Henryk odrodzonym się czuje, powracam młodocia dawną, dawne siły wracają, pracuje nad dziełem nowym, nie do żadnej już świątyni przeznaczonem, zamkniętej murami, o kształtach z góry nakreślonych — nie, obecne dzieło mistrza Henryka „do zamknięcia zmusi dzwony wszystkie wszystkich kościołów i polecą w tryumfu ton uderzwszy, niech obwieszcza światu, że się dlań nowe urodziło światło.“

Pracując nad tem nowem dziełem na gór wyżynach, mistrz Henryk z doliny już nie schodzi, gdzie wązkim korytem płynie codzienne życie ludzkie, gdzie nieraz „obowiązek“ do taczki wyrobniczej orle przykuwa skrzydła, gdzie dużo jest też i boleści, a mniej uśmiechu szczęścia. Opuszczona żona i dzieci nie obchodzą już nie tego nadczłowieka, stojącego na takiej wyżynie, że świat cały zmalował u jego stóp, a drobnostki spraw życia ludzkiego za nikłe są i za marne. Zostało w nim jeszcze poczucie krzywdy, jaką wyrządził żonie i dzieciom, ale nie umie leż osuszyć, choćby chciał tego. „Ja, com jest miłością, com się odrodził w miłości, próżnego, nie umiem księżę, napełnić kielicha.“ „Czyż może człowiek, który, zamiast palców sępie ma szpony, głaskać łzą zroszone oblicze dziecka?...“ I kończy ten wyraz bólu swojego słowami: „Bóg niech tu pomaga!...“ Jest to jałmużna, dawano często żebrakom przez bogaczy.

Niziny się burzą na ukochanego niegdyś mistrza Henryka. Nie wraca do opuszczonej rodziny, w kościele go nie widzą, zaniedbał praktyk religijnych.

Pastor, który nie jest niczem innem, jak uosobieniem suchego prawa, zimnego obowiązku, nie znającej wyjątków reguły, nie bez pewnego wstępu nawiedza zamieszkałą przez Henryka grootę, gdzie go brutalnie przyjmuje Rusalka (Poezya). Na pytanie pastora: „Powiedz dziecie, czy jesteś sama?“ odpowiada szorstko: „Nie się tu nie masz do pytania.“ „Człeczyno strzeż się.“ „Rabusiem nie jestem. Nic ci nie zabrałam!...“ „Czelna ladacznic!“ — mówi ksiądz do... Poezyi, — nie tylko żonie, mnie i dzieciom jego, tyś go zabrała wszemu społeczeństwu!“ Lecz oto nadchodzi Henryk i Rusalka woła w tonie tryumfalnym: „Spójrz — kto tam idzie! Swobodnych jego kroków czy nie słyszysz dźwięcznej harmonii? Król idzie tą drogą — a ty żebraku czy się nie radujesz?“

Jedna z najpiękniejszych może scen w całym dramacie jest rozmowa księdza z Henrykiem, utarczka dwóch pojęć, dwóch przeciwieństw: wolnego ducha, rwącego się z oków prozy życia, z zimną formą, ujętą w kształt, nadany przez zwyczaj, prawo, religię. „Za wysoki dla mnie wasz polot — mówi pastor — jedno wiem to, czego wy nie wiecie: wiem, co jest prawo, a co jest bezprawie; wiem co jest dobro, a co jest zło.“ I pada z ust księdza groźba, że przyjdzie czas, gdy będzie przeklinał siebie, Boga i dzieła swoje, o, wówczas — „pomyśl o mnie.“ Lecz mistrz Henryk jest pewny, że żaden głos trwogi z nizin które rzucił, na szczyt, na który wznosił się nie doleci do niego, już nie zadzwoni nigdy ów dzwon, „co przepaści żądny, wpadł w bezdnie i leży w jeziorze.“ I oto pada groźba ostatnia: „Mistrzu! zadzwoni! Pomyśl wtedy o mnie!...“

Henryk dalej pracuje nad dziełem swoim, ale elfy i duchy strwożone pragną precz wygnać intruza, który wdarł się do ich dziedziny i ich brudny spokój mąci. Rozkochana Rusalka w Henryku, coraz bardziej oddala się od Wodnika, karły i gnomy służą mistrzowi, który rad jest ze swej pracy, jeden z karłów tylko, jakby uosobienie „przeznaczenia“, stoi nad kowadłem z podniesioną wciąż maczugą, jakby chciał nią uderzyć w niedokonane jeszcze dzieło mistrza i roztrzaskać je. Henryk jest rad z roboty, ale oto jeden z karłów na ucho mu szepce jakieś wróżby straszne, że czoło mistrza blednie. Ogarnia go zwątpienie, „fatum“ rozbija maczugą odlew wykonany, mistrz w rozpacz wpada, nawiedzają go sny straszne, które nasuwa mu pojawiający się Wodnik, wyrzucający mu zbrodnie, jakie popeł-

nił, szepcząc o dzwonie zatopionym, z którego „płynie tak dziwny zew, jakby dzwon w ustach miał serce...“ a biada, gdy się poruszy na dnie i jego dźwięk posłyszysz. I zmora męczy pograżonego w śnie Henryka, przez sen zawołana Rusalka przybiega. „Wlej we mnie wiarę — woła — memu duchowi daj ten szal podniosły, którego trzeba mi, by tworzyć.“

Ale oto niziny, wzburzone na mistrza, przywoływane przez Kozodaja, poruszyły się. Tłum dąży do groty, by ukamienować ofiarę szału, przerażona Rusalka błaga Wodnika o pomoc, lecz on żąda nagrody, której ona bez zerwania z ukochanym dać mu nie może. Henryk wybiega przeciw tłumowi, wali na niego złamy granitów, zwycięża, i oto, gdy w upojeniu łączy usta z Rusalką, zjawia się widmo, mające kres położyć wszystkim marzeniom jego.

„Tam — w górze — po wązkiej perci w koszulce...“

[Bose

chłopieta... Dzbaneł dźwigają niebogi, ciężki dzbanuszek. I oba! to ten, to tamten musi go przed się popychać kolankiem nagiem, małuskiem kolankiem.“

Zjawiają się dzieci mistrza z dzbankiem leż matki. „A ona?“ — pyta Henryk... „Tam, gdzie róże wodne!“ — odpowiadają dzieci. I oto uderza dzwon i grzmi coraz straszniej, okropniej, jak rozbudzone sumienie, jak wyrzut win wielkich i grzechów nieodkupionych. „Otel lań! — woła Rusalka do oszalałego Henryka; — zostań — do idącego — koniec, koniec!“ Henryk wychodzi, w twarz pluje Rusalcę, rzucając na nią i na dzieło swoje przekleństwo.

I na tem właściwie jest koniec dramatu.

W akcie piątym Henryk zjawia się znów w górach, po to tylko, by raz jeszcze wyciągnąć dłoń do dawnej kochanki, ale ona... stała się żoną Wodnika, przeklęta i wzgardzona — zanurzyła się... w błoto! Na wołanie odpowiada jednym słowem: „Nie mogę!“ i jeśli się zbliża, to po to tylko, by osłabionemu podać kubek ze śmiertelnym napojem, który mu przygotowała Baba-Jaga.

Zrozumiałą jest główna treść dramatu: torwanie się ducha ludzkiego do niewidzialnego, lecz wciąż przeczuwanego świata szczęścia, to walka wieczysta z krępującemi nas więzami ziemskimi. Ale przynam się otwarcie, że niezupełnie jest zrozumiałą, nie mówię już o Babie-Jadze, lecz nawet tak ważna postać, jaką jest Rusalka.

Nie lubię zaś symbolu, nad którym potrzeba głowę łamać, o którym różni różnie mówią. Ma to być niby, jak chcą niektórzy krytycy — Poezya. Nam się zdaje, że najmniej twierdzenie podobne do prawdy się zbliża. Bo ważmy: Rozumiemy, że Poezya sama w sobie nie rozumie znaczenia łzy, przez zetknięcie się dopiero z życiem ludzkim pojmuję jej znaczenie. Ale dla czego ta Poezya tak szorstko przyjmuje księdza, zjawiającego się u Henryka. Podobnego znalezienia się Poezyi niezupełnie pojąć można, a nie zrozumiałem jest zupełnie wyjście jej za mąż za Wodnika, zanurzenie się w bagnie stawu, w którym się zwraca do mistrza wołającego ją ze swoim: „Nie mogę?“ Azali Poezya doprowadza ludzi do zerwania obowiązków? azali Poezya pogardzona i przeklęta — musi zanurzyć się w błoto? azali może ją dotknąć brud ziemski, nie jest-że ona wyższą nad wszelkie upadki, nie jest-że ona kościelką ran, sumieniem zresztą dusz upadłych?

Jeżeli tylko na miejsce Rusalki postawimy poezję — tysiąc niekonsekwencji wnet wypłynie. Symbol zostanie chybiony, dramat, mglisty sam przez się, mglistym się jeszcze stanie, a bałamuctwo większe. Nam się zdaje, że postać Rusalki zarysuje się zupełnie wyraźnie, dramat zrozumialszym będzie, jeżeli w boginie tej dojrzeć zechcemy symbol — namiętności, nie innego, tylko namiętności zwykłej, ludzkiej, pochodzącej z krwi i ciała.

Dowiedźmy to:

Namiętność, dopóki jest w nas ukryta, dopóki nie zetknie się z życiem — jest czystem pięknem, nie rozumiejącem nawet znaczenia leż, w których są zawarte wszystkie „cierpienia i radości świata.“ Taka jest Rusalka na początku drama-

tu Hauptmana, piękna w nieświadomości niszczącej potęgi swojej, tak nietykalnie czystą, że umizgi Wodnika i Kozodoja nie kalają jej dziewicości. Zetknięcie się dopiero z Henrykiem, szukającym zapomnienia, śmierci nawet podzielnie zniszczonem czy nieudanem, zmusza do ujawnienia się tego, co dotąd było tajemniczo ukryte. Ogarnięta szałem miłości, pojmując znaczenie łzy, tęsknota wiedzie ją do „kraju ludzi“, bo tam tylko rzetelny swój wyraz znajdzie. Nie waha się przekroczyć nieznajomego progu chaty, nie jej nie obchodzą łzy żony, ona jest „głuchą i niemą“ — warzy czar-ziele, budzi omdlałego, przekonywa go o swoim rzeczywistym istnieniu, porywa go w zaczarowane koło uroków swoich, staje się potrzebą jego, duchem przeczuwanym, którego obecność czuł wszędzie, lecz spotkać nie mógł. Miłość Henryka do Magdy była miłością codzienną, gospodarską, że się tak wyrazimy, bez uniesień, upojenia i szału, do których to rozkoszy każdy z nas nieprzeparate pragnienie czuje; namiętność porywa nas i będąc ziemskim uczuciem, unosi na wyżyny, do ust sączy krople nektaru, ma piękno poezji, moc i siłę odradzającą, dopóki nie zmęczy, nie zniszczy i w proch nie rzuci. W namiętności jest wszystko: bajeczny świat marzeń, sny wszystkich snów. Toteż nie dziwimy się słowom Henryka, gdy mówi do niej: „Baśni — pocałuj mnie!“

Ogarnięty namiętnością, idzie zajej przewodem, porzuca żonę i dom rodzinny. Krępują go więzy codziennego życia i łańcuch obowiązków, siła żywiołowa prze go naprzód. I oto rozdźwięk, który panuje w nas, to niezadowolenie wieczyste, ta walka poezji z życiem. Namiętność, dopóki trwa, wciąż trzymasz na wyżynie pragnień. Gniewną jest, gdy chcą ją zdmuchnąć lub łup jej odebrać. Zrozumiałemi teraz są słowa Rusalki, które mi gniewnie wita księdza, przychodzącego w imię obowiązku.

Ale prawo życia jest nieubłagane. Wszelkie nadmierne wyteżenie wyczerpać się musi, żyjąc na ziemi, z ziemią niewolno zerwać.

Żona mistrza topi się i martwemi dłońmi dotyka dzwonu, który budzi w Henryku sumienie uspięne. Przeklina namiętność, która, precz odtrącona, nie może sobie już ujścia innego znaleźć, jak — ugrząść w kałuży błota.

I oto dla czego Rusalka staje się żoną Wodnika, oto dla czego, wzywana raz jeszcze, odzywa się słowami rozpacz: „Nie mogę!“

Tak! zwalana, zbrudzona, nie może już być tą kroplą ożywczą, jaką dawniej była; wypłynąwszy raz z tajemniczych zakątków życia, iztem życiem się zetknąwszy — musi jak potok naprzód i naprzód płynąć, i — albo do wyżyn sięgnąć, albo ztamtąd strącona — runąć w otchłań brudu. Dziś już nie Henrykowi dać nie może, — oprócz śmierci. I Rusalka podaje ten puhar śmiertelny i uchodzi znękana, splamiona, w chwili, gdy świt słoneczny rozwidnia góry, jak brzask nowego życia, do którego dążymy przez kamienistą drogę żywota.

W ten sposób zrozumieliśmy Rusalkę w dramacie Hauptmanowskim — ale, jako żywo, symbolu poezji w niej niemożna widzieć. Niezrozumiała jest za to dla nas Baba-Jaga, bojąca się księdza i pod grozą zniszczenia jej chaty, zdejmująca czary z Henryka — to znów, jak w akcie następnym, urągająca księdzu, drwiąca z jego słów groźby.

Mimo nienowości tematu, gmatwaniny pewnej, Dzwon niemieckiego dramaturga jest dziełem dużej miary — ale zbyt nisko nie pochylimy przed nim czoła, ani też nie pozazdrościmy, że się na pniu polskim nie urodził.

Kazimierz Gliński.

ODCZYT.

III.

Antoni Austen: „Artysta, krytyk i publiczność.”

J. J. Boguski: „James Clerk Maxwell, jego żywot i dzieła.”

W ciągu kilku ostatnich tygodni, w części pod wpływem głośnego manifestu St. Przybyszewskiego p. t. „Confiteor,” ogłoszonego w pierwszym tegorocznym numerze krakowskiego „Życia,” zaczęto u nas więcej, niż zwykle, mówić i pisać o zadaniach i istocie sztuki z jednej strony, a krytyki literackiej i artystycznej — z drugiej. Niedawno mieliśmy sposobność zapoznać czytelników „Bluszczu” z treścią odczytu dr. fil. Maryana Massoniusa o nauce i krytyce estetycznej. Jednocześnie prawie p. Ignacy Matuśewski wydrukował w „Tygodniku Ilustrowanym” zajmujące studium p. t. „Sztuka i społeczeństwo,” gdzie, zgadzając się na to, że „sztuka jest sama sobie celem,” nie waha się twierdzić, że niezależnie od tego, jeśli tylko jest ona owocem szczerzego natchnienia i rzetelnego talentu, to spełniać będzie wielkie zadanie posuwania ludzkości naprzód na drodze do „uduchowienia.” P. Józefat Nowiński, jeden z laureatów konkursu Paderewskiego, w feljetonie „Gazety Polskiej” dochodzi tymczasem do znanego już zresztą z kądinąd wniosku, że „utwór krytyczny — to dzieło sztuki z powodu dzieła sztuki,” a p. K. R. Żywicki zamieszcza w „Prawdzie” swe cięte „uwagi profana” o sztuce i nie-sztuce.

Jeżeli zestawimy z tem, ogłoszoną nieco dawniej w „Przeglądzie Filozoficznym,” wyczerpującą i bardzo ciekawą rozprawę o sztuce p. Edwarda Abramowskiego, autora świeżo wydanej „Teorii jednostek psychicznych,” to przyjdzie nam do wniosku, że p. Antoni Austen w swym odczycie p. t. Artysta, krytyk i publiczność, wypowiedzianym 19 Marca w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa, poruszył temat aktualny, zajmujący dziś u nas wiele wybitnych umysłów.

Prelegent, utalentowany artysta-malarz, znany u nas zarówno ze swych obrazów, jak i z przeszłorocznego odczytu o impresjonizmie, mówiąc o sztuce, miał głównie na myśli sztuki plastyczne. Artysta jego jest przede wszystkim malarzem i, jako taki, ma obowiązek kochać swą sztukę szczerze, bezinteresownie, dla niej samej, gdyż inaczej może być bardzo biegłym technikiem; znającym wybornie stronę rzemieślniczą sztuki, ale nie będzie artystą. W tej części odczytu, obok ogólników, powszechnie znanych, które z korzyścią dla całości można było opuścić bez wahan, usłyszeliśmy nienową również, ale bardziej interesującą uwagę o malarstwie pejzażowym.

Rzuciwszy na wstępie pytanie, czy malarstwo pejzażowe jest tworzeniem, czy też tylko zwyczajnem kopjowaniem natury, prelegent w gorących wyrazach stanął w obronie pejzażu. W każdym rodzaju malarstwa bywają arcydzieła i miernoty, dzieła sztuki i wyroby rzemieślnicze. Nie rodzaj jednak przedstawionego przedmiotu, ale sposób wykonania stanowi o istotnej wartości utworu artystycznego. Jeżeli pejzażysta pozna, odczuje, zrozumie i ukocha naturę, jeżeli potrafi uchwycić i oddać właściwy nastrój otaczającego pejzażu, to obraz jego nie będzie jedynie barwną fotografią natury, lecz stanie się prawdziwem dziełem sztuki.

Sa ludzie, którzy dzieła malarzy na pewne kategorie i grupy, wiążąc z każdą z nich pewien niejako stopień hierarchiczny w dziedzinie sztuki. Poza artystą widzą oni zawsze pejzażystę, portrecistę, batalistę lub malarza historycznego i gotowi są temu ostatniemu oddawać stale pierwszeństwo, uważając malarstwo historyczne za najwyższy rodzaj twórczości plastycznej. Pogląd ten uzasadniany bywa rzekomą trudnością malowania postaci, rzeczy i scen, które już nie

istnieją w naturze, których nikt naprawdę nie widział. Lecz z drugiej strony trzeba przyznać słusność p. Austenowi, który twierdzi, że ta trudność wtedy dopiero stałaby się istotną, gdyby obrazy historyczne poddane być mogły sądowi i krytyce współczesnych, którzy, być może, nie poznaliby siebie i swojej epoki na płótnach, budzących dziś zachwyt i podziw największy.

Wszystkie rodzaje malarstwa powinny więc być równouprawnione, a jedynym kryterium większej lub mniejszej wartości danego dzieła sztuki musi być jedynie większy lub mniejszy stopień złączonego z nim artyzmu. Prawda, że chcąc tworzyć prawdziwe obrazy historyczne, trzeba być historykiem-historykiem, ale i malarz-pejzażysta musi być malarzem-poetą. Ci przytem, którzy nie uznają malarstwa pejzażowego, będącego zresztą dopiero dzieckiem XIX wieku, nie liczą się z faktem spełnionym, zamykają oczy na dzieła wielkiej wartości, które w tej dziedzinie powstały.

W dalszym ciągu zasługują jeszcze na uwagę poglądy prelegenta na różnicę między malarzem-artystą i malarzem-spekulantem. Artysta powinien wszystko odczuwać, co jest piękne, nie zamykać się w jednej jakiejś wyłącznej gałęzi twórczości, lecz dążyć do opanowania w równym stopniu całej dziedziny swojej sztuki. Doszedłszy do doskonałości w danym odłamie twórczości, wyspecjalizowawszy się w nim, malarz-spekulant stara się wyzyskać osiągnięty z niemałym trudem stopień artyzmu, tworząc ciągle w tym samym kierunku, w którym mu idzie najłatwiej. Malarz-artystę, przeciwnie, interesuje i nęci pokonywanie coraz to nowych trudności, poszukiwanie coraz to nowych kierunków i dróg, i dlatego porzuca on chętnie zdobytą placówkę, by pójść na nowe wyżyny. Nie dziwnego, że pierwszy z czasem zaczyna się powtarzać, że dzieła jego stają się wyrobami rzemieślniczymi i wreszcie wychodzą z mody; twórca ich zapomina o najważniejszym przykazaniu dla prawdziwego artysty: „miłować sztukę dla niej samej, a nie dlatego, że przynosi dochody.” Drugi na razie może nie zdobyć uznania i poklasku publiczności, gdyż nie schlebia jej gustom utartym i szablonowym, ale wobec sądu potomnych czeka go tryumf nad pierwszym.

Wiele słusznych, zaprawnych tu i owdzie gorących uwag wypowiedział prelegent w dalszym ciągu, mówiąc o stosunku publiczności i krytyki do artysty i dzieł jego, lecz nie zdołał ustrzedz się w swych poglądach pewnej jednostronności. Przykrym jest niewątpliwie widok profana, stojącego w roli sędziowskiej przed dziełem istotnego talentu, owocem wielu wysiłków, wielu zniechęceń i porywów artystycznych w dziedzinę wiecznotrwałego piękna. Bolesnie jest słyszeć szyderstwa i urągania, usprawiedliwione jedynie tem, że niepowołany krytyk-publiczność nie może zrozumieć artysty, nie jest w stanie i nie próbuje wznieść się na te wyżyny, w których duch jego przebywa. Lecz z drugiej strony trudno wymagać od ogółu, by poprzestawał zawsze w stosunku do artysty na roli podziwiającego i bezkrytycznego ucznia, trudno odmówić mu prawa wypowiedziania swych uwag i poglądów, i trzeba się zgodzić z nieulegającym również wątpliwości faktem, że w dziedzinie sztuki ostatnią instancją, wyrokującą o nieśmiertelności dzieła, musi być nie artysta, lecz ogół, niekiedy zresztą w dziesiątem lub nawet setnym pokoleniu dopiero...

A krytyka? Prelegent, zapominając o pochodzeniu samego wyrazu od greckiego słowa *kriton*, co znaczy rozróżniać, sądzić, pragnie widzieć w niej tylko sprawozdawcę, przedstawiającego rzecz jak najobiektywniej i wstrzymującego się nawet od wygłoszenia własnego sądu o dziełach sztuki.

Zapewne, zasadą krytyka nie powinno być chwalić lub ganić, lecz zrozumieć dzieło sztuki i umożliwić zrozumienie go szerokim warstwom ogółu; chcąc krytykować, trzeba się znać na sztuce, rozumieć jej ducha i samemu z ducha przynajmniej, jeżeli nie z fachu, być artystą. Ale niezależnie od tego niepodobna pozbawiać kry-

tyka zasadniczej cechy jego powołania, jaką jest wydawanie o dziełach sztuki umotywowanego sądu, choćby dla ułatwienia ogółowi trudnego niekiedy wyboru między utworami istotnego artyzmu a wyrobami zręcznej tandety i spekulacji, o czem sam prelegent mówił tak ładnie w pierwszej części odczytu.

I tu zresztą, w myśl zasady, głoszonej również przez p. Austena, trzeba się liczyć z faktami dokonanymi, a te świadczą wymownie, że dobra krytyka, nie cofająca się przed sądem krytycznym o dziełach i kierunkach artystycznych, wywierała na nie wpływ duży, — i zapewne nieraz jeszcze wpływ ten na sztukę wywierać będzie w przyszłości...

W mało znaną szerszemu ogółowi, a nadzwyczaj ciekawą sferę działalności umysłu ludzkiego, wprowadził nas p. J. J. Boguski (22 Marca r. b. w sali ratuszowej) w swym pięknym odczycie o życiu i dziełach wielkiego fizyka angielskiego, James'a Clerk'a Maxwell'a. W myśl zasady, wygłoszonej przez Prusa, że naród, jak roślina, winien mieć korzenie w ziemi, a koronę w niebie, prelegent poczytywał sobie za pewnego rodzaju obowiązek społeczny zwrócenie uwagi na podniosłą i szlachetną postać znakomitego autora „Wykładu o elektryczności i magnetyzmie,” wykładu, będącego podstawą wszystkich naszych wiadomości w tej dziedzinie wiedzy, — a to tem bardziej, że, jak słusznie zauważył p. B., badania naukowe ścisłe, stanowiące niemałą część owej sięgającej w niebo korony, zupełnym niemal leżą u nas odłogiem i o tyle tylko są uprawiane, o ile służą celom praktycznym, jak rolnictwo, przemysł i t. p.

Szczegóły biograficzne z życia J. C. Maxwell'a, a zwłaszcza z jego dzieciństwa i młodości, przechowane dokładnie w pamięci licznych przyjaciół znakomitego uczonego, w dyaryuszu jego ojca, który zanotował w nim mnóstwo faktów, dotyczących James'a, tudzież w obszernej korespondencji, prowadzonej przezeń z rodziną i z przyjaciółmi, mają dużą wartość pedagogiczną, są bowiem wymownym przykładem, jaką wybitną rolę w rozwoju umysłowym człowieka odgrywa wpływ jego najbliższego otoczenia w dzieciństwie i w pierwszych latach młodości.

James Clerk Maxwell, urodzony w Edynburgu w r. 1831-ym, znajdował się pod tym względem w wyjątkowo szczęśliwych warunkach. Ojciec jego był w przyjaźni lub zażyłości ze wszystkimi wybitnymi ludźmi swej epoki, z uczonymi, artystami i literatami. Obok wysokiej prawości, zasadniczym rysem jego charakteru, przekazanym w spótygowanym stopniu synowi, była niezmiernie wrażliwość na wszystko, co nowe, pożyteczne lub ciekawe. Zdolny i wykształcony, nosił się on początkowo z zamiarem przygotowania syna w domu, bez obcej pomocy, do studyów uniwersyteckich w Edynburgu. Był to przytem umysł niezależny, aż do ekscentryczności zamiłowany w ustawicznej a samodzielnej ocenie ludzi i faktów, praktyczny i przewidujący, a w stosunku z synem umiał zachować zawsze stosunek serdecznej przyjaźni, prowadził z nim ożywioną korespondencję i w miarę możliwości, w okresie szkolnym James'a, starał się dotrzymać mu towarzystwa, spędzając całe zimy w Edynburgu i roztaczając nad nim rozsądną i troskliwą opiekę.

Przodkowie Maxwell'a po kądzieli odznaczali się zdolnościami artystycznymi, a wuj jego pozostawił potomstwu o wybitnem uzdolnieniu matematycznym. Matka James'a, z domu panna Cay, była przede wszystkim kobietą o dobrem sercu i energicznym charakterze. Praktyczna, pobożna bez bigoteryi, uczynna, kształciła wspólnie z mężem zarówno umysł, jak serce jedynaka swojego, który w wiele lat później odzywał się do swych przyjaciół, że najwięcej w życiu, jeśli nie wszystko — zawdzięczamy rodzicom.

Ale bo też przyszły uczony rozwijał się wyłącznie pod rodzicielską opieką i pod wpływem domowego otoczenia, w którym dużą rolę odgrywała ciotka James'a, panna Anna Cay, odznaczająca się zdolnościami malarskimi, inteligencją, szlachetnym sercem i ogromnem przywiązaniem do rodziny Maxwell'ów. Jeżeli otoczenie wiejskie młodego Maxwell'a szczegółami pewnymi przypominać mogło piękne rysunki, umieszczane ongi przez Andriollego w „Tygodniku Ilustrowanym“ i „Kłosach“ pod tytułem: „Szkice z życia dworu wiejskiego,“ jeżeli z opisów jego dzieciństwa wieje cała poezja pięknej przyrody i miłych stosunków rodzinnych, to jednak (co prelegent stwierdził ze smutkiem) w domu rodziców James'a skala wewnętrzznego życia umysłowego była o wiele wyższa, niż w przeciętnym naszym dworze. Cechowało ją z jednej strony szczere zamiłowanie do nauki i sztuki, a z drugiej — pozostawienie w ręku własnem, a nie płatnych bon cudzoziemek, całego ciężaru wykształcenia i wychowania jedynaka...

W dalszym ciągu w sposób żywy i zajmujący odmalował prelegent lata szkolne Maxwella, który w ósmym roku życia mógł powtórzyć bez błędu cały psalm dziewiętnasty, a w czternastym rozpoczął samodzielną twórczość matematyczną poważnem odkryciem naukowem, a mianowicie wynalezieniem nowej klasy zupełnie przedtem nieznanych krzywych, na których pomysł wpadł, wykreślając elipsę za pomocą sznurka i dwóch gwoździ.

Po szczegóły tego odkrycia, uznanego przez specjalistów za nowe i przedstawionego, dzięki zabiegom ojca, na posiedzeniu publicznem Towarzystwa królewskiego w Edynburgu, odesłać musimy czytelników do samego odczytu p. J. J. Boguskiego, który, o ile wiemy, ma go wkrótce ogłosić w całości w najbliższym numerze „Światła.“ Pominąć tu również musimy wiele ciekawych faktów z pobytu młodzieńczego uczonego (dla którego pierwsze powodzenie było naturalnie potężnym bodźcem do dalszej pracy samodzielnej) w t. zw. akademii edynburskiej, następnie w uniwersytecie i w kolegium św. Piotra w Cambridge, a wreszcie w uniwersytecie w Aberdeen na stanowisku profesora fizyki, której katedrę otrzymał Maxwell po raz pierwszy w dwudziestym szóstym roku życia. Zaznaczymy tylko, że w Aberdeen poznał on się z córką rektora, panną Katarzyną Dewari, zbliżył się do niej na gruncie wspólnego studyowania Biblii. Znajomość ta zakończyła się małżeństwem Jamesa, który wkrótce potem przeniósł się z żoną do Londynu i przez pięć lat wykładał fizykę w Kings-College, a niezależnie od tego miewał wieczorne wykłady dla robotników.

Wyjechawszy następnie na dłuższy czas na wieś, oddał się całkowicie poważnej pracy naukowej, która nie przeszkadzała mu zresztą zajmować się od czasu do czasu interesami parafii i gminy, budową domu mieszkalnego i kościoła. Owocem pięcioletniego pobytu Maxwella w Glain-lair było właśnie wspomniane już przez nas pomnikowe dzieło *on Electricity and Magnetism*, oraz

„Nauka o cieple,“ będąca wzorem artystycznego i głębokiego zarazem wykładu popularnego.

Do najdonioślejszych prac Maxwella, przerwanych, niestety, jego śmiercią przedwczesną na stanowisku profesora fizyki doświadczalnej w uniwersytecie w Cambridge (w r. 1879), należą, obok wspomnianych już, badania nad budową materii, nad światłem, nad pierścieniami Saturna, nad ogólną teorią barw i wiele innych. Obok mistrzostwa techniki, wszystkie one odznaczają się ogromną głębokością i bogactwem treści.

„Zachwycaliśmy się — mówił prelegent — doświadczeniami Hertza, czytaliśmy w ubiegłym roku o telegrafii bez drutu Marconiego, na nich opartym, a jedno i drugie to tylko parafrazy myśli, rzucanych garściami całemi w jego „Elektryczności i magnetyzmie.“ Ta jedna książka jest już tytułem wystarczającym, dla którego Maxwell będzie cenionym jeszcze przez lwia część nadchodzącego stulecia.“

Prace jego, prócz szczegółowego opracowania pojedynczych zjawisk, mieszczą w sobie ogólną teorię eteru wszechświatowego, a więc ogólną teorię zjawisk świata materyjalnego, zawierającą wyjaśnienie nie tylko zjawisk światła i promieniowań, ale i wszystkich działań z odległości, a więc przyciągań elektrycznych, magnetycznych i przyciągania powszechnego...

Widzieliśmy już, że Maxwell, poświęciwszy swe życie badaniom pierwszorzędnych zjawisk natury i olbrzymich zagadnień, nad których rozwiązaniem myśl ludzka daremnie pracowała od wieków, daleki był przytem od tak częstej u uczonych jednostronności. Miarą wszechstronności tego niezwykłego umysłu są jego studia nad poetami starożytnymi i angielskimi, oraz samodzielne próby poetyckie, których po nim zostało dużo. Prelegent przytoczył urywek z wiersza Maxwella do zorzy w pięknym przekładzie Maryi Konopnickiej, który tu za nim powtórzmy:

Daj nam miłować tak, o wielki Boże,
Byśmy w Twą własną miłość mogli wierzyć,
A ja Ci duszę na oścież otworzę,
Czy błogosławić, czy w nią chcesz uderzyć.
Potęga myśli, i wola, i siła
W proch się obróca i staną się pyłem.
Ale miłości nie strawi mogiła,
Miłość jest moją i świadczy, że żyłem.

Zaznaczywszy trafnie pewne pokrewieństwo tych myśli z poglądami Mickiewicza, wyrażonemi w znanej jego „Romantyczności,“ doszedł prelegent do wniosku, że na pewnych wyżynach umysłowego rozwoju giną te przegródki i szufladki, w jakie wtłaczają szkolarze działalność umysłu ludzkiego, „Tam, na wyżynach twórczości umysłowej — mówił on — wielki przyrodnik, wielki matematyk i wielki poeta — ogarniają jednakie horyzonty, widzą jeden wielki wszechświat zjawisk i widzą jednakowo,“

Wł. Bukowiński

Sprostowanie. W artykule poprzednim (nr. 12) w sprawozdaniu z odczytu p. W. Gostomskiego o dramacie wagnerowskim, na str. 92 w szpalcie 1-ej, w wierszu 42 od góry, zamiast „w swej porze za efektem,“ powinno być: „w swej pogoni za efektem.“

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: ark. 9 i 10 powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. Tom II-gi.

Wyszła z druku książka:

ORCHIDEE

ZBIÓR NOWEL

przez

Marcellego Strzemińczyka

Cena egzemplarza kop. 90, pocztą rub. 1.

Skład główny w Księgarni

GEBETHERA i WOLFFA

Krakowskie-Przedmieście,

róg ulicy Czystej; — do nabycia w Administracji „Bluszcza“ i we wszystkich Księgarniach.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 0.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Treść: Jezus Chrystus na górze Oliwnej (rysunek). — U grobu Chrystusa, przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Mistrzu! przez Szczęsną. — Iskaryota, przez Selima. — Przy kominku (Pogawędka), przez ?? — Kazimierz Gliński. Krzywda. Powieść (dalszy ciąg). — Dzwon zatopiony, przez Kazimierza Glińskiego. — Odczyty. III., przez Wł. Bukowińskiego.

Dodatek obejmuje: *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 9 i 10. Tom II-gi. — Przegląd mód. 19 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 17 Марта 1899 г.



Nr 3 i 4. Wiosenny kapelusz, przybrany wstążką i piórami.

Przegląd Mód.

Nowości w materiałach i nowe modele paryzkich kapeluszy.

Wielkanoc. wiosna, dni jasne, ciepłe, długie, pobudzają cały świat do życia. Zima ucieka, przerażona wonią pierwszych kwiatów: pierwiosnków, dzwonczków i sasaneek. Natura stroi się w nowe szaty, a i ludzie dostrają się do tej nuty. Nasze powabne warszawianki z wiosną wylegają na ulice syreniego grodu, strojne wdziękami i nowymi szatami. A chociaż nie stała i fantastyczna moda naraża na wydatki, to jednak te z pań, które umieją się ubrać i umieją oszczędzić, te zawsze znajdą sposób, aby się ubrać ładnie, dystygowanie, a nie drogo. Ta rzesza praktycznych pań wie, gdzie znaleźć towar tani a w dobrym guście, gdzie są najpiękniejsze kwiaty, kapelusze, lub inne przybory toaletowe. Magazynem, stale cieszącym się względami owych pań praktycznych a eleganckich, jest skład towarów bławatnych p. Emilii Heurich (Miodowa 2), która w tych dniach powróciła z Paryża i dzięki jej uprzejmości po obejrzeniu przywiezionych towarów, najmodniejsze i najpiękniejsze z nich opisuję.

Na kostiumy gładkie angielskie spacerowe, najlepsze „cover cot'y” i drobno kratkowane, kratka zwyczajna, zwana „d'amier,” zawsze noszona i dystygowana i materiały paskowane w nowym guście. Oprócz tego do tejże grupy należą materiały zupełnie gładkie, bardzo tanie.

Na strojniesz suknie wizytowe, są prześliczne bardzo cienkie materiały, narzucone jedwabnemi „pastilles,” lub w jedwabne paski i desenie. Dalej idą cienkie lekkie „musselines d'Athènes,” grenadiny, „satin Liberty” i fulary.

Na letnie sukienki noszone będą piękne zefiry gładkie lub paskowane, piki, repsy, organdie i diagonale.

Niezwykle pięknym jest również wielki wybór czarnych materiałów, tak gładkich, jak i fantastycznych, na kostiumy strojniesz wizytowe, suknie i okrycia.

Co do ulubionych kolorów, to najmodniejszymi są kolory: popielaty, jasny beige, lila, niebieski, bleu de ciel i trochę mniej noszony, lecz co prawda, zawsze ładny kolor zielony.

Co do przybrań, to wykończenie sukni musi być zastosowane do jej rodzaju. Kostiumy angielskie są przeważnie gładkie, zaledwie przepikowanie lub guziki stanowić mogą pewną rozmaitość, gdyż cała wykwintność tego rodzaju ubrania polega na dystynkcyi i prostocie.

Do strojniesz sukien konieczne jest wykończenie z jedwabnego muślinu w połączeniu z jedwabnym, haftowanym, białym, czarnym, lub różnokolorowym pięknym galonem, zastosowanym do koloru sukni. Przybrań tego rodzaju widziałam wielką ilość i rozmaitość u pani Heurich.

Na negliże i wykwintną bieliznę są zawsze piękne „linon” i „pongé” gładkie i haftowane.

Nakoniec muszę też nadmienić o pięknych szalach i chustkach letnich, tak niezbędnych do podróży — są one podłużne i kwadratowe, rodzaj himalaya i wiązane.

Co do kapeluszy, to w tym roku moda zrobiła je trochę ekscentrycznemi. Prawie wszystkie najpiękniejsze modele noszą się przeważnie z czoła, a bok jeden lub obydwa są podpięte. Na naszym gruncie taka moda nie zawsze znaleźć może zastosowanie, o czym wiedzą dobrze nasze pierwszorządne modystki, wybierając zagranicą modne, dla Warszawy szukają form spokojniejszych, licujących więcej z poważniejszym usposobieniem pań naszych.

Piękne, bardzo gustowne i do naszych wymagań zastosowane modele, przywiozła z Paryża właścicielka magazynu mód p. E. Loth (Saski Plac 5).

Kapelusz okrągły, różowy. Rondko złożone z drobnych riuszek, z różowej „vieux rose” jedwabnej iluzji. Główka nałożona girlandą róż do cieniu, dobranych, pokrytych czarną koronką „chantilly,” z tyłu egreta z czarnych rajszych piór wysoko upięta.

Kapelusz okrągły, z jedwabnej, lśniącej słomki „cérise,” z fantazyjnie ułożoną główką, przepiętą czarną, dżetową strzałą. Czarna koronka, czarne strusie pióra i egretka wysoka z rajszych piór, stanowi resztę przybrania.

Kapelusz okrągły, równy, z tyłu podpięty z niebieskiej, grubej, lśniącej słomki. Główka, nałożona girlandą białych róż i puklami szerokimi z fałtali, dobranej do cieniu słomki.

Toczek ze słomy jedwabnej lila, bok mocno podniesiony z gazy „Liberty” lila zrobione podpięcie w kształcie 2-ech dużych róż, bratki aksamitne w tymże cieniu, oraz 2 pióra strusie tworzą przybranie.

Tok, czarny, rondo ze słomy czarnej, jedwabnej, naszywanej pailletkami, po bokach skrzydła dżetowe ze stałą, przód



Nr 1. Kapelusz wizytowy.



Nr 2. Kapelusz dla dziewczynki o 5--6 lat.



Nr 7. Ubranie wiosenne.

przybrany sutą kokardą, z koronki duchesse, zachodzącej aż na główkę i spiętej z przodu klamrą brylantową.

Kapotka ze słomy zielonej, falisto uszytej, przybrana kokardą ze wstążki „satin antique” koloru „vieux rose”, bukiecik prymulek w tychże cieniach i brydy z wstążki szerokiej.

Kapotka nadzwyczaj oryginalna w kształcie dużej makówki, podpięta dokoła lekko tiulem malines koloru makówki. Kapotka ta dla młodych osób jest nadzwyczaj efektowna.



Nr 5. Strojna spódniczka jedwabna (halka),

młodych panienek stosowny kapeluszek z jasnej żółtej słomy, z odwinięciem z przodu rondem, przybrany jest wstążką w mieniącym pawim kolorze. Brzeg ronda, jak również brzeg wstążki, oszyty jest bufką z gazy w kolorze odpowiednim.

Jedwabna spódniczka (halka), przybrana riuszami.

Rycina Nr 5.

Strojna spódniczka z materyi mieniącej zielonej z ponsowem, zakończona jest z przodu 28 ct., z tyłu 45 ct. szer. falbaną, plisowaną w maszynie bardzo gęsto i zakończoną w górze i w dole sutą $4\frac{1}{2}$ ctm. szer. riuszą. Spódniczka ta składa się z dwóch prostych 47 ctm. szer. brytów z tyłu, z jednego bryta z przodu szerokiego w górze 36, w dole 46 ctm. i z dwóch klinów, mających w górze 15, w dole 31 ctm. szer.

Wiosenny kapelusz, przybrany wstążką i kwiatami.

Rycina Nr 6.

Z różowej pleśni, z rondem wysoko z lewego boku podpiętem, kapelusz ten przybrany jest atlasową wstążką i różowymi do cieniu różami. Bok wysoko podpięty, przytrzymany jest sutą kokardą, od której wysokie pukle, naszyte na cienkim druciku przerzucone są na główkę. Tę opasuje girlanda z róż.

Ubranie wiosenne.

Rycina Nr 7.

Ubranie wiosenne składa się z dwóch materyałów: brązowego i jasno beige. Spódnica z sukna brązowego chowa się w części pod tiunika jasną, wyciętą w długie, nieco zaokrąglone zęby, a właściwie patki. Stanik w formie gorsecika, składający się z drobnych części, przyszyty jest do



Nr 6. Kapelusz wiosenny, przybrany wstążką i kwiatami.



Nr 8. Kostyum wiosenny z krótkim kaftanikiem. Nr 9. Płaszcz wiosenny, albo do podróży.

Kapelusz „empire,” dla dziewczynki od 5—6 lat.

Rycina Nr 2.

Upleciony z różowej słomki, podszyty marszczoną różową gazą, kapelusik ten, brzeg ronda oszyty ma drobnymi gazowymi bufkami. Wysoką główkę opasuje drapowany, różowy atlas, za kokardę z takiejże wstążki przypięte są 2 białe strusie pióra. Szeroka wstążka przeciągnięta przez główkę i rondko, stanowi brydy i związuje się z boku na kokardę.

Wiosenny kapelusz, przybrany wstążką.

Rycina Nr 3.

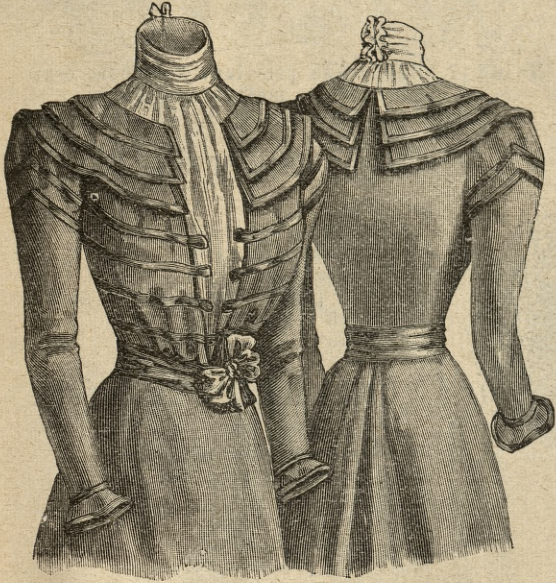
Skromny, dla

karczka z plisowanej, brązowej materii. Rękawy zakończone są w górze paroma poprzecznymi fałdkami. Oddzielne części stanika, jak również zęby u tiuniki, oszyte są jedwabnym sznurkiem i haftowane brązowymi jedwabiami.

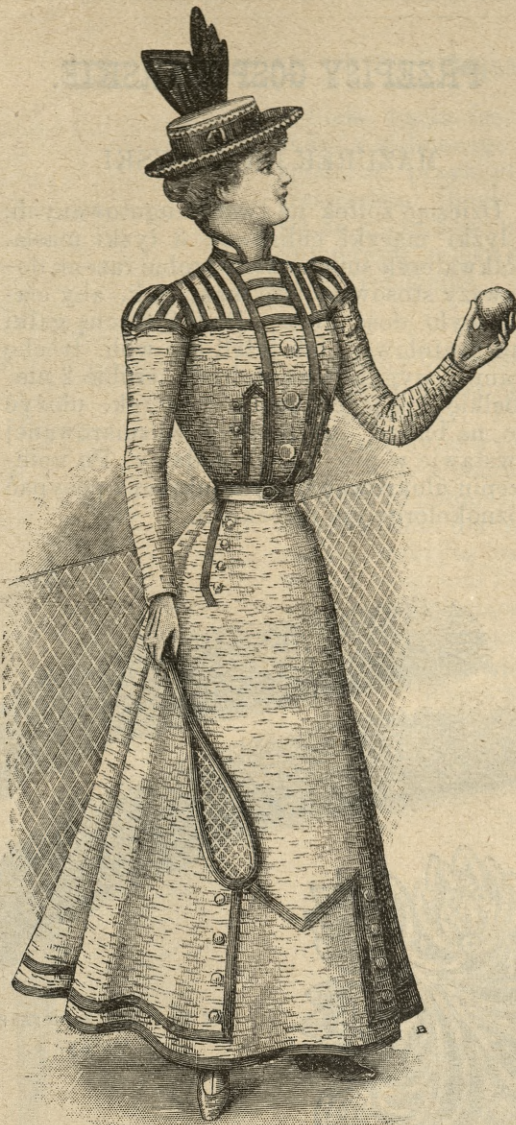
Kostium wiosenny z krótkim kaftanikiem.

Rycina Nr 8.

Kostium ten z jasno-brązowego covert-coat, składa się z gładkiej spódnicy i z kaftanika o podwójnych, w ząb zakończonych przodach. Kaftanik otwiera się na aksamitnej bluzce, dowolnego, zupełnie odrębnego koloru. Przybranie kostiumu stanowi zastębnowany sznurek. Przybranie to ciągnie się wzdłuż szwów przednich na spódnicy, obejmuje kaftanik do okola, pokrywa szalowy, duży kołnierz i przybiera rękawy.



Nr 11. Suknia, przybrana wstążeczkami.



Nr 10. Ubranie do gry lawn-tennis, dla młodej panienki.

Płaszcz wiosenny, albo do podróży.

Rycina Nr 9.

Modna w tym roku stebnówka, stanowi przybranie zręcznego, a zarazem praktycznego płaszczyka. Pliski z tegoż samego materiału zakończone brzeg, a przeciągając się przez przody, naśladują krótki kaftanik. Wykładany kołnierz w połączeniu z niewielkimi wyłogami, zakończy górę płaszczyka. Rękawy przybrane są tylko przy rękę.

Ubranie do gry lawn-tennis, dla młodej panienki.

Rycina Nr 10.

Biała flanelka w niebieski rzucik, przybrana pliskami z gładkiej flaneli niebieskiej, bardzo ładną tworzy sportową sukienkę. Spódnica dosyć krótka, oszyta jest dwa razy pliską, podnoszącą się z przodu w ząb, po obu stronach którego naszyte są kryształowe guziki. Takie same pliski i guziki przybierają bluzkę, wszytą w karczek z białej, gładkiej flaneli. Karczek ten pokrywają niebieskie pliski, zakończony zaś jest stojącym, z przodu nieco otwartym kołnierzykiem. Rękawy przy ramionach, przybrane są odpowiednio do karczka.

Suknia, przybrana wstążeczką.

Rycina Nr 11.

Skromna, lecz gustowna sukienka z niebieskiego kaszmiru, składa się ze spódnicy z fałbaną, naszytą w dole kilka razy wąską wstążeczką i z bluzki, otwartej z przodu i wyciętej wokoło szyi, a podłożonej koszulką z marszczonego, białego, lub żółtawego jedwabiu. Przy wycięciu bluzki wyklada się potrójny, leżący kołnierz, oszyty wstążeczką, prócz tego, przody bluzki od góry w poprzecznym kierunku, zastosowanym do kołnierza, naszyte są wstążeczką. Rękawy przy ramieniu przybiera też sama wstążeczką, przy rękę zakończy fałbaną, także wstążeczką oszyta. Pasek zastępuje fałdowany atłas, w kolorze wstążeczki, spięty z boku na rozetę.

Wiosenna peleryna dla starszej osoby.

Rycina Nr 12.

Materiał: sukno w kolorze heliotrop. Przybranie: pliski z tegoż samego materiału i wenecka gipiura. Peleryna, oszyta wokoło ku górze mocno zwężającą się fałbaną, otwiera się na prostych, stalowych przodach. Pelerynkowy kołnierz, połączony z kołnierzem Medicis, wyłożony jest fałbaną z gipiury. Taką samą, marszczoną gipiurą, przytrzymana pliską, naszytą jest po nad fałbaną, a także zakończy przody i w rodzaju karczka wysuwa się z pod pelerynkowego kołnierza.

Ubranie spacerowe formą princesse.

Rycina Nr 13.

Suknia z materiału szaro-zielonego w deseń, zapięta z boku, przybrana jest pliskami z atłasu w ciemniejszym odcieniu. Atłasowa pliska zakończy w górze wysoką fałbaną, ciągnie się wzdłuż zapięcia z boku i obejmuje przody, wycięte w potrójne zęby. Przód przybrany jest sutą krawatką z białej jedwabnej gazy, pasek z atłasu spina tylko przody. Wąskie rękawy, oszyte są pliską tylko w górze.

Korona szydełkowa robota, do prześcieradeł, ręczników i t. p.

Rycina Nr 14.

Nietrudna a bardzo efektowna ta robota, może mieć zastosowanie do wielu celów. Podana tutaj przez nas, wykonana jest

bawełną białą i ponsową Nr 60. Taką samą koronką z bawełny écru, może być użyta do oszycia serwetek na tace, firanek, pasów na kredens i t. p. Koronkę tę łatwo jest poszerzyć, dodając wedle potrzeby jeden rząd, lub więcej kwadratów, połączonych szydełkowymi pajęczkami.

Boa z pierzastej włóczki (robota szydełkowa).

Rycina Nr 15.

Doskonałą ochronę na dni chłodne, szczególnie u wód, lub nad morzem, przedstawia nowość, którą każda z pań wykonać może sama. Boa wykonywa się z dwójakiej białej włóczki, pierzastej, delikatnej i nadzwyczaj cieplej, zwanej: Zéphyr. Włózkę pierzastą należy nawinąć na deseczkę w równe pasma, mające 22 ctm. długości i przeciąć. Z włóczki Zéphir wykonywa się spód roboty w ten sposób, że strona lewa stanowi stronę prawą. Ścieg najzwyczajniejszy, każde oczko chwyta włózkę pierzastą i zadzierzga z niej pętlę. Grubość boa zależy od ilości oczek.

Sukienka niebieska haftowana, oraz płaszczyk dla dziecka na rękę.

Rycina Nr 16 i 17. (Krój pierwsza strona tablicy Nr VI, fig. 43-49).

Biały, wełniany materiał w wydatne paski, użyty jest na sukienkę i płaszczyk, których główne przybranie stanowi haft, wykonany różowym jedwabiem do prania, do którego deseń wskazuje fig. 49. Karczek sukienki pokrywa kołnierz, wykrajany z przodu i z tyłu w ząb i oszyty marszczoną koronką. Taką samą koronką, marszczoną w formie falbany przykrywa bufiaste rękawki. Karczek do płaszczyka wykrajany jest okrągło i zakończony w ząbki dzierganą falbanką. Tak sukienka, jak i płaszczyk, przybrane są nadto kokardami z różowej wstążeczki.



Nr 12. Peleryna wiosenna dla starszej osoby.

Nr 13. Ubranie spacerowe, formą princesse.



Nr 18 Serwetka z haftowanym szlakiem.
(Deseń pierwsza strona tablicy fig. 50 i 51).



Nr 19. Serwetka na meble, ozdobiona płaskim haftem i robotą point-lace.
(Deseń odwrotna strona tablicy fig. 99).

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

MAZUREK KRAKOWSKI.

Dziesięć żółtek na twardo ugotowanych, 3 łyżki mączki cukrowej, 3 łyżki masła, półkwaterek śmietanki, wyrobić razem, dodawszy stosowną ilość mąki, tak, aby ciasto było dość zbite. Dodać trochę gałki muszkatołowej, lub jeżeli kto woli, trochę wanilii, wygnieść na stolnicy, zrobić 2 niewielkie lub jeden spory mazurek, ułożyć go na blasze, lub masłem wysmarowanej i wstawić w piec na pół godziny. Po upieczeniu ulukrować białym lukrem i posypać różnokolorowym mączkiem.



Nr 16 i 17. Haftowana pół-długa sukienka, oraz płaszczyk dla małego dziecka.
(Krój pierwsza strona tablicy Nr VI, fig. 43—49).

Obiad na Pierwsze Święto.

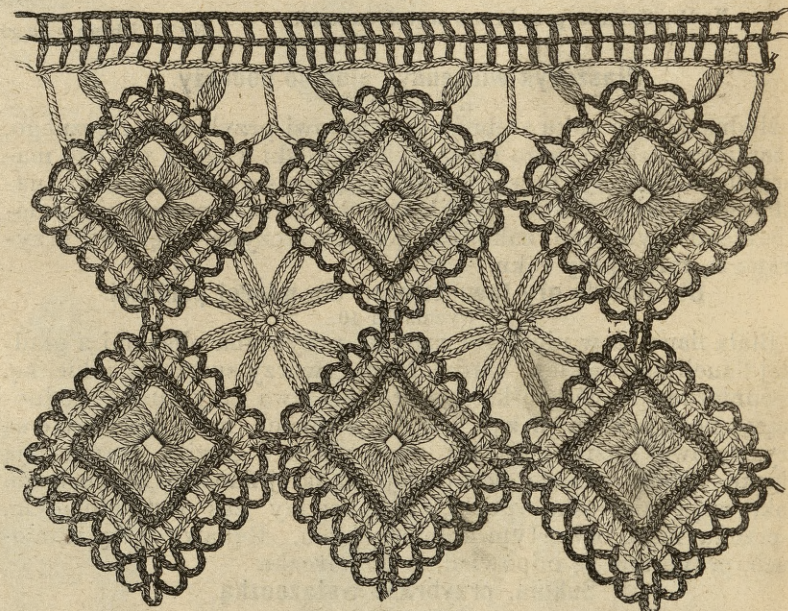
1. Rosół w filiżankach.
2. Szyńka na gorąco.
3. Rolada z prosięcia.
4. Ozór peklowany z ostrym sosem.
5. Indyk z salată.
6. Mazurki.

Obiad na Drugie Święto.

1. Barszcz w filiżankach.
2. Głowizna w roladzie.
3. Sztufada.
4. Kielbasa z różną.
5. Cielęcina z salată.
6. Tort i placek z serem.



Nr 15. Boa z pierzastej wełny.



Nr 14. Szydełkowa koronka do kołder, prześcieradeł, ręczników i t. p.



Główny Skład Zakładów Żyrardowskich

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,

otrzymał na sezon wiosenny i letni:

Płócienka, Satynhi, Batysty, Dryliszki na ubrania męskie, dzieciinne i liberyjne, Zefiry, Kretony, Firanki, Dywany, Portyery, Materyały meblowe.

Gotowa bielizna męska i damska.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

PRÓBY I CENNIKI ODWROTNA POCZTA FRANCO.

UWAGA. Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszczu.”

Pończochy
i
skarpetki
czarne
i fantazyjne.